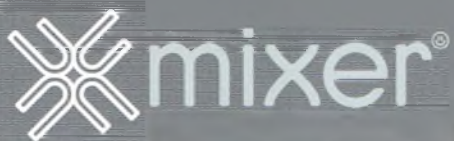




mixer[®]

magazyn studentów
Krakowskiej Szkoły Wyższej
im. A. Frycza Modrzewskiego
nr 15 / maj 2006 / ISSN 1732-6494

PAMIĘTNIK
WYKŁADOWCY



magazyn studentów
Krakowskiej Szkoły Wyższej
im. A. Frycza Modrzewskiego
nr 15 / maj 2006 / ISSN 1732-6884

redaktor naczelny:
Bartłomiej Misiniec

zastępca redaktora naczelnego:
Grzegorz Lewandowski

redakcja:
Agnieszka Prostak
Grzegorz Makuch
Kinga Zielińska
Roksana Rumińska

**skład/tamowanie, opracowanie
graficzne:**
Maciej Wojdyła
tcheely@wp.pl

adres do korespondencji:
mixer@kte.pl

wydawca:
Krakowska Szkoła Wyższa
im. Andrzeja Frycza
Modrzewskiego
ul. Kanonicza 9
31-002 Kraków

druk:
drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład:
2000 egzemplarzy

okładka:
Michał Pawłowski
Maciej Wojdyła

W numerze:

PoWaGa: Politycznie Ważne Gadanie

- 4** Czy i dlaczego młodzież nie uczestniczy w życiu politycznym?
6 Co z tym Irakiem?

Kraków od spodu

- 7** Krakowskie Lwiątko dorosły
8 Żadne słowo, gest nie uniesie całego obrazu...
9 Od świtu do zmierzchu

Temat z okładki

- 10** *Zawsze stawiam sobie poprzeczkę dość wysoko i staram się ją przeskoczyć*
- wywiad z prof. KSW Małgorzatą Leśniak
12 *Obyczajowość moich czasów była zupełnie inna*
- wywiad z prof. KSW Barbarą Krauz-Mozer

StuDnIa: Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 14** Wykład o mediach, konkurs dla najlepszych
15 Ubiór świadczy o Tobie...

KUMulus: Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 16** *Chciałem być leśnikiem...* - wywiad z Jerzym Stuhrem
17 Odszedł tata Pirxa

FeLieTon: Fobia Ludzi Trudnych

- 18** *Głupich spraw nie kochać wielką miłością*
19 Kosmiczna Szkoła Wyższa
20 Wyjedźcie (choć raz) w Bieszczady

Czarno-białe

- 26** *Bon ton, czyli...*
26 Ziomal musi kumać

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych.



Oddajemy w Wasze ręce kolejny numer „Mixeru”. Jest to dla nas numer szczególny, ponieważ władze Uczelni, zważywszy na popularność pisma i szybkość, z jaką rozpyływa się ono między bracią studencką, zdecydowały obdarzyć kredytem zaufania nową redakcją i... powiększyć nakład pisma do dwóch tysięcy egzemplarzy! Startujemy więc w nowej formule!

Przez ostatni miesiąc wydarzyło się wiele. Był to czas sprzyjający zadumie, nie tylko z racji Świąt Wielkanocnych. W pierwszą rocznicę śmierci Jana Pawła II, za którego pokolenie większość ludzi młodych zwykło się uważać, tłumnie oddaliśmy hołd temu wielkiemu Polakowi. Czy jednak od czasu, gdy nieodżałowany papież odszedł do bram Ojca staliśmy się lepsi? Czy udało się dotrzymać postanowień i deklaracji? Pod oknem na Franciszkańskiej każdy miał okazję zapytać o to siebie...

Pozegnaliśmy też w Krakowie jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych, klasyka światowej literatury science fiction Stanisława Lema, którego książki przetłumaczono na 41 języków. Wszyscy chyba wychowaliśmy się na przygodach pilota Pirxa. Dzieła Lema pozostaną jednak z nami, a wraz z nimi pamięć o autorze, który niewątpliwie zbudował sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu.

Mamy także bardzo ciepły akcent tego numeru. Myślę, iż niejednen z nas chciałby się dowiedzieć, jak życie studenckie spędzili nasi wykładowcy. Czy za ich czasów sesja była równie stresująca? Czy dużo się uczyli, czy

może próbowali ściągać? No i jak bawili się na studiach? Te i inne arkana z przeszłości wykładowców odkryją przed Wami Grzegorz Makuch i Agnieszka Prostack na str. 10-13.

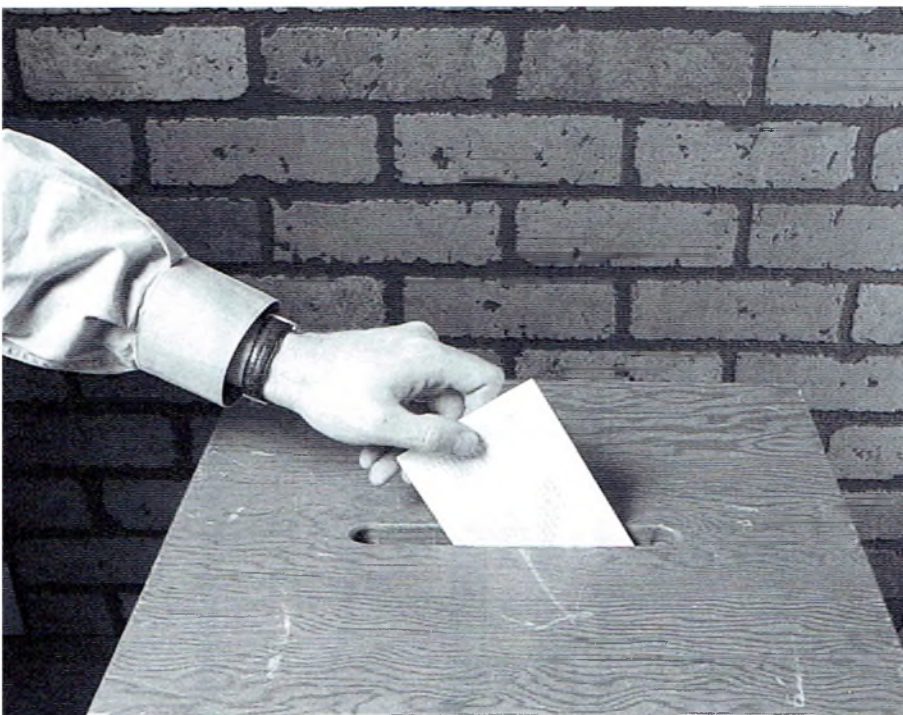
Na koniec pragnąłbym poruszyć istotną, a jednocześnie bardzo budującą kwestię. Otóż od ukazania się numeru poprzedniego, w którym gorąco apelowaliśmy o współpracę, otrzymaliśmy od Was wiele listów i bardzo dużo ciekawych artykułów. Co ważne, napisali do nas studenci z różnych wydziałów, zarówno ze studiów dziennych, jak i zaocznych. Oby tak dalej! Jest to nasze pismo, więc słusznie

wykorzystajmy okazję do zadebiutowania na jego łamach, do czego serdecznie zachęcamy!

Bartłomiej Misiniec
redaktor naczelny



Czy i dlaczego młodzież nie uczestniczy w życiu politycznym?



Zaangażowanie nic nie da, nic nie zmieni ani w naszym życiu, ani ogólnie w sytuacji społeczeństwa – mówią licealiści i studenci

– Zainteresowanie polityką jest, ale z drugiej strony zdolność krytycznej oceny faktów i krytycznego odbioru tych wszystkich informacji, które płyną z mediów, i dostrzeżenie realnego znaczenia zachodzących faktów politycznych wydaje się zatrważająco niskie. Młodzi ludzie garną się do polityki, ale tak naprawdę zdarza się bardzo często, że niewiele z niej rozumieją. Człowiek 18-letni rzadko kiedy ma wykrystalizowane poglądy

polityczne – mówi Dominik Drożdż, sekretarz małopolskiego Stowarzyszenia „Młodzi Demokraci”.

Czy rzeczywiście zainteresowanie młodzieży polityką jest jedynie pozorne, oparte na nikłej wiedzy i braku większej refleksji nad tylko suchymi informacjami? Przyznać należy, że to, co się dzieje na polskiej scenie politycznej, faktycznie może być trudne do zrozumienia, zwłaszcza dla tych, którzy w świat polityki dopiero zaczynają wkraczać. Młodym może się także wydawać, że znajomość podstawowych zasad i mechanizmów życia politycznego nie jest im dzisiaj do ni-

czego potrzebna. Za ważniejsze od zainteresowania sferą publiczną uważają oni bowiem własne wykształcenie i w przyszłości karierę zawodową. Zainteresowanie polityką występuje jedynie „przy okazji”, na boku innych ważniejszych dla nich działań.

Dowodem na to, że młodzież nie czyni z polityki centrum swoich zainteresowań jest sondaż przeprowadzony w grupie ponad 200 licealistów w wieku 18 lat (sondaż przeprowadziłam w okresie listopad-grudzień 2005 r. w dwóch małopolskich liceach). Największa część ankietowanych osób (38,6 proc.) deklarowała, że życiem politycznym interesuje się okazjonalnie, jedynie od czasu do czasu, np. w trakcie kampanii wyborczych. Niewiele mniej stwierdziło jednak, że polityką raczej się interesuje, chociaż są to tylko wybrane zagadnienia czy wydarzenia (36,7 proc.). Prawdziwych pasjonatów jest niewiele. Tylko 14 proc. 18-latków deklarowało, że interesuje się wszystkim, co dzieje się na polskiej scenie politycznej. Na szczęście mniej było tych, którzy w ogóle się tym nie interesowali (10,7 proc.), co już pozwala na lekki optymizm.

Na podstawie tych wyników można więc stwierdzić, że młodzież wbrew funkcjonującym w społeczeństwie przekonaniom jednak interesuje się życiem politycznym. Nie jest to jednak duże zainteresowanie. Można by rzec: ot, od czasu do czasu. Przy okazji większych wydarzeń czy jakichś wątków dla poszczególnych osób ważnych.

Za największą grupę trzeba więc uznać tę pośrodku, średnio bądź mało zainteresowaną.

– Niektórzy interesują się nawet bardzo, oglądają debaty itd., lecz są tacy, którzy w ogóle się tym nie interesują i nieważne jest dla nich, kto będzie rządził – twierdzi Mateusz, 18-letni licealista ze Skawiny. Dlaczego dla jednych jest to ważne, a dla innych nie?

– Młodzi ludzie są zakochani. Wracając po szkole, biegną jeszcze na piłkę, filmy, gry. To im utrudnia. Polityka to dla nich tylko dodatek do prawdziwych zainteresowań – tłumaczy Grzesiek, także licealista ze Skawiny.

Młodzież woli więc przeznaczać swój wolny czas na sprawy, które wydają się bardziej interesujące w tym wieku. Mają inne zainteresowania niż polityka, np. chodzenie na imprezy, kino czy sport. Do tego dochodzi konieczność nieustannego myślenia o własnej przyszłości i planowania kariery zawodowej, prawie zawsze niezwiązanej w żaden sposób z życiem politycznym.

Powodów, dla których część młodzieży nie interesuje się życiem politycznym, znajdzie się jednak jeszcze dużo więcej. Na pewno jednym z najważniejszych jest zniechęcenie do obecnej sceny politycznej. 61,4 proc. ankietowanych 18-latków stwierdziło, że brak zainteresowania polityką wśród niektórych z ich rówieśników wynika z obserwacji obecnego życia politycznego.

– Ciężko jest być na bieżąco i rozumieć wszystkie kroki polityków, bo wszystko to jeden wielki przekręt i interesowanie się własnymi sprawami zamiast tymi naprawdę ważnymi dla państwa – twierdzi 18-letnia Kinga. W tej wypowiedzi zawarta jest także niestety niezbyt chlubna opinia o polskiej klasie politycznej, która niewątpliwie ma wpływ na poziom zainteresowań życiem politycznym nie tylko tej licealistki. Takie niechętnie spojrzenie na polityków deklarują nie tylko ludzie młodzi, ale także starsza część polskiego społeczeństwa. Liczne afery, których świadkami jesteśmy od kilkunastu miesięcy, pogorszyły już i tak mocno nadwątlony obraz polskiego polityka. Niestety, nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie miał się on polepszyć.

Zepsucie klasy politycznej skutecznie ukazują młodym media, a także rodzice.

– To środowisko „z mlekiem matki” ma wpojona niechęć do polityków-złodziei. Część nie wie o aferach pewnie – twierdzi Adam Krajewski, przewodniczący krakowskiego Stowarzyszenia Konserwatywno-Liberalnego KoLibier. – Niewątpliwie rodzice – nawet nieświadomie – przekazują swoim dzieciom własne nastawienie do demokratycznych procedur. To oni w dużym stopniu kształtują bowiem postawy swoich dzieci wobec polityki i to oni po części tworzą jej obraz w ich oczach. Często, niestety, jest to obraz przepiękny aferami i jednym wielkim skandalem.

Młodzi ludzie oceniają więc polską klasę polityczną bardzo negatywnie. Skutkiem tego jest brak zainteresowania tą sferą życia u części z nich i w konsekwencji rzadkie podejmowanie jakiegokolwiek aktywnej działalności politycznej.

– Część młodzieży, patrząc na działania starszych od nich kolegów, dochodzi do wniosku, że i tak oni sami nie są w stanie nic zdziałać. Poza tym to i tak już nic nie zmienia – pesymistycznie twierdzi 18-letni Damian.

Taka postawa ciągle dominuje wśród młodych. Uważają oni, że ich zaangażowanie nic nie da, nic nie zmieni ani w ich życiu, ani ogólnie w sytuacji społeczeństwa. Tak niskie poczucie wpływu na bieg rzeczy potwierdza także wynik przeprowadzonej ankiety, w której 43,7 proc. 18-latków twierdziło, że nie czuje żadnego wpływu na to, co dzieje się na polskiej scenie politycznej, nawet za pośrednictwem wyborów. Zważywszy na to, że ankietę przeprowadzono po wyborach parlamentarnych i prezydenckich w 2005 roku, w których osoby te mogły po raz pierwszy głosować, nie można tych danych uznać za optymistyczne. Bo czy ci młodzi, którzy dziś pełni są poczucia bezsilności wobec tego, co się dzieje w polskiej polityce, nabiorą przekonania o wartości swoich działań w przyszłości? Wydaje się to wątpliwe, tym bardziej że większość z nich takich działań nie podejmie, ograniczając swoją aktywność polityczną jedynie do pójścia do urn, bo to, jak twierdzi 89,6 proc. licealistów biorących udział w sondażu, obowiązek.

Ograniczenie przez młodzież aktywności politycznej do udziału w wyborach przy równoczesnym zainteresowaniu polityką jedynie od czasu do czasu nie wróży większego udziału obywateli w życiu politycznym.

Nie znaczy też jednak, że młodzież polityką się nie interesuje. Raczej, że interesuje się, nie zawsze jednak rozumiejąc przedmiot swojego zainteresowania. Brak świadomości politycznej wydaje się jednak udziałem nie tylko części młodego pokolenia, ale także niektórych dorosłych.

– Każdy Polak jest najlepszym politykiem i trenerem reprezentacji polskiej, a prawda jest taka, że niewiele ludzi wie – twierdzi Maksymilian Gibes, były prezes małopolskiego okręgu Młodzieży Wszepolskiej. I ta niewiedza też rodzi brak aktywności polskiego społeczeństwa. Młodzi patrząc na starszych od siebie, nie dostrzegą więc zbyt wielu wzorców uczestnictwa w życiu politycznym.

Trudno jednak przewidzieć przyszłość i wyrokować o przyszłych pokoleniach. Można wszelako patrzeć w nią z obawą bądź nadzieją w oczach. Sama młodzież wydaje się wybierać raczej to drugie. Pewne jest jednak, że większy udział ludzi młodych w życiu politycznym nie nastąpi szybko ani nie będzie „wybuchem fajerwerków”. Nie ma też prostej recepty na to, by go zwiększyć. Od niego będzie jednak zależał kształt przyszłego społeczeństwa. – Młodzież jest przyszłością, to ona może zbudować lepszą Polskę – mówi 18-letnia Kasia. Oby tylko w tę budowę lepszego państwa zaangażowała się liczniej niż do tej pory...

Beata Blak

Co z tym Irakiem?

Sytuacja zmieniła się i teraz powinniśmy skandować: „George, zostań w Iraku, póki nie zaprowadzisz demokracji. Ale za jej wprowadzanie zapłać sobie z własnego budżetu!”

„Choć na pierwszy rzut oka może to wyglądać absurdalnie, wojnie zawdzięczamy możliwość swobodnego wypowiedzania się i współdecydowania w najważniejszych dla nas sprawach. Największym bowiem wynalazkiem z dziedziny wojskowości w historii świata jest demokracja”. Powyższe słowa Jana Długosza, historyka i doktoranta Wyższej Szkoły Humanistycznej w Pułtusku, zamieszczone w wydanym przez tygodnik *Polityka* *Niezbędniku inteligenta* skłoniły mnie do refleksji związanej z przypadającą rocznicą działań wojennych w Iraku (20 marca 2003 r. – 1 maja 2003 r.). I jak co czwartek Tomasz Lis pyta *Co z tą Polską?*, tak my zatrzymajmy się na chwilę nad Irakiem, gdzie flagi polskie powiewają nad bazami wojskowymi tuż obok amerykańskich, i spytajmy: Co dalej z tym Irakiem?

Wcale nie tak dawno spore grono młodych ludzi protestowało na krakowskim rynku i przed ambasadą amerykańską, skandując: „Chleba, nie wojny!” i „Ameryka do domu!”. Problem wydaje się tu oczywisty, jednakże środki zaradcze już niekoniecznie. Wypowiedzi zbuntowanych pacyfistów, udzielających wywiadów w telewizji, nacechowane bowiem były nieznaną zarówno sytuacji społeczno-ekonomicznej dopiero co odradzającego się państwa irackiego, jak i reguł oraz strategii działań w polityce międzynarodowej. Naiwne i krótkowzroczne jest bowiem przekonanie, że teraz wystarczy opuścić Irak, by wszystko wróciło do normy, a sytuacja sama się ustabilizowała. Trochę na to za późno... Po tym, co się tam wydarzyło, nic już nie będzie jak dawniej.

Muszę zaznaczyć, iż absolutnie nie jestem zwolennikiem polityki prezydenta George’a W. Busha. Wręcz przeciwnie. Jednak staram się rozumować realistycznie i uważam, że pozostawienie teraz Iraku samemu sobie mogłoby spowodować katastrofę na Bliskim Wschodzie albo w najlepszym wypadku uczyniłoby to państwo niezdolnym do prawidłowego rozwoju nawet pomimo bogatych złóż ropy naftowej.

W powszechnej opinii milionów ludzi wojna w Iraku to rozwiązanie złe. Jak najbardziej więc zrozumiałe były protesty na całym świecie, przez które starano się wpłynąć na politykę Stanów Zjednoczonych. Rozpoczęcie wojny bez rezolucji Organizacji Narodów Zjednoczonych było niedopuszczalne i uzasadniło oskarżenia publicystów przypinających USA rolę samozwańczego szeryfa na arenie światowej. George W. Bush rozporządzający siłą militarną kilka razy większą niż wszystkie wojska państw zachodnich razem wzięte, zlekceważył „zasady gry” obowiązujące w ONZ, co nawiasem mówiąc, zrodziło pytanie o zasadność istnienia takowej instytucji. Coraz częściej słychać głosy, iż jest to organizacja zajmująca się marnowaniem pieniędzy i wydawaniem uchwał, których i tak nikt nie przestrzega. Bez popadania ze skrajności w skrajność trzeba jednak przyznać, iż brak skuteczności w wywieraniu nacisku na swoich sygnatariuszy nie przydaje jej wiarygodności.

Rezolucję zezwalającą na atak Organizacji Narodów Zjednoczonych wydałaby tylko po uzyskaniu konkretnych dowodów na istnienie zagrożenia, jakie niewątpliwie stwarzałoby posiadanie broni masowego rażenia przez człowieka pokroju Saddama Husajna. Interwencja za przyzwoleniem ONZ wolna byłaby wówczas od oskarżeń, że Amerykanom wcale nie chodzi o demokrację, ale jedynie o ropę naftową.

Z drugiej zaś strony, na mimo wszystko usprawiedliwienie interwencji można sięgnąć do podobnych przypadków z historii. Otóż gdyby Hitlera, podobnie jak Husajna, „sprzątnąć” zawczasu już chociażby na puczu monachijskim, być może uniknęlibyśmy jednej z największych zaraz naszego kontynentu – nazizmu, a co za tym idzie – holocaustu, II wojny światowej itd. To jednak tylko gdybanie...

„Nawet najszczęśliwy pacyfista powinien się zgodzić z tezą, że wojna jest motorem postępu” – pisze Długosz. Może trudno to sobie wyobrazić, ale wiele wynalazków, których używamy na co dzień (samoloty, komputery, penicylina, chirurgia (w tym kosmetyczna!!!), powstało po to, aby sprawniej można było mordować nieprzyjaciół. Biorąc udział w demonstracji antywojennej, warto zapytać, czy potrafilibyśmy się bez nich obyć.

Artykuł ten nie powstał po to, by usprawiedliwiać NIEŚLUSZNA, według mnie, interwencję wojsk amerykańskich (i nie tylko) w Iraku. Miał być impulsem do ponownej refleksji na ten temat, bo nie można dalej obstawać przy poglądach sprzed 20 marca 2003 r. Zło nazywać trzeba po imieniu, ale teraz już nie można się wycofać. I każdy myślący człowiek dobrze wie, że Ameryka jako państwo, którego gospodarka uzależniona jest od ropy, nie zamierza wprowadzać tej demokracji *pro publico bono*. Także osobiste ambicje syna, którego ojcu nie udało się „wykurzyć” Saddama siłą, nie są już tematem tabu.

Niemniej jednak interwencja stała się faktem dokonany i nie można wiecznie ptać nad rozlanym mlekiem. Właśnie teraz jest czas na to, by zrobić w Iraku ile tylko się da! Nie możemy opuścić tego państwa choćby ze względów moralnych. Nie można się teraz odwrócić od, tak sobie. To, że wojska amerykańskie, polskie i inne kontyngenty międzynarodowe opuszczą Irak, może tylko pogorszyć sprawę. Chodzi o to, że demokracja nie jest naturalnym stanem społecznym, trzeba się do niej po prostu przyzwyczaić. A to z kolei musi trwać, żeby ludzie nie zachłysłi się wolnością po tylu latach życia „pod batem”. Obawiam się, że sami Irakijczycy nie będą w stanie zapewnić sobie porządku i poszanowania dla władz tak od razu, szczególnie że w dalszym ciągu egzystują – choć zeszli do podziemia – lojalni wobec dyktatora siepacze.

Należy więc piętnować Amerykę za to, co zrobiła, ONZ winien wypominać jej do znudzenia zlekceważenie dyrektywy, a może nawet trzeba by wyciągnąć jakieś konsekwencje. Czemu nie? Jednakże sytuacja zmieniła się i teraz powinniśmy raczej skandować: „George, zostań w Iraku, póki nie zaprowadzisz demokracji. Ale za jej wprowadzanie zapłać sobie z własnego budżetu!”. Należy nieustannie patrzeć na ręce okupantom czy wyzwolicielem, jak kto woli, a szczególnie na ręce kontrolujące kurki z ropą, i zmusić do skupienia się władz stabilizacyjnych nad obiecwanym zaprowadzaniem systemu demokratycznego, a nie dogodnych warunków przetrwania dla gospodarki interweniujących. I tu otwiera się pole do popisu dla Organizacji Narodów Zjednoczonych, która w przeciwnym razie wyjdzie na bezradną wobec Wielkiego Brata zza oceanu.

Bartłomiej Misiniec

Krakowskie Lwiątko dorosły

Pierwsze spotkanie młodych ludzi spod znaku Leo Klub Kraków odbyło się w październiku 2000 roku w murach „Piwnicy pod Baranami” i tak pozostało do dziś...

Zgodnie z tradycją i w myśl powołania organizacja Leo Klub Kraków stara się zrzeszać młodych i ambitnych ludzi, którzy w pełni bezinteresownie działają na rzecz potrzebujących. W ciągu tych pięciu lat przez krakowski klub przewinęło się wiele osób. Z początku „leo lista” była jedną z najbardziej licznych wśród wszystkich w Polsce, w 2002 roku tworzyło ją prawie 30 osób, obecnie jest ich jedenaście. Jak widać, jedni leo członkowie przychodzą, drudzy odchodzą, a jeszcze inni pozostają do dziś i pełnią funkcję protoplastów klubu.

Sztuka współdziałania

Od początku Leo Klub Kraków skoncentrował działalność głównie wokół Domu Dziecka w Miękinii pod Krakowem. Wolontariat w tym sierocińcu polega przede wszystkim na niesieniu pomocy w odrabianiu lekcji, organizowaniu zbiorów ubrań, zabawek i spędzaniu wolnego czasu na wyjazdach do kina czy aquaparku. W miarę pozyskania funduszy członkowie starają się o to, aby podopieczni wspólnie z nimi mogli spędzić święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc, mikotajki czy Dzień Dziecka. Okazjonalnie wspierają też inne krakowskie domy dziecka czy Towarzystwo Przyjaciół i Dzieci w Krakowie, a comiesięcznymi zakupami obdarowują kilka biednych rodzin z Krakowa.

Niespełna rok temu Leo Klub Kraków nawiązał współpracę z młodzieżowym klubem Rotary – Rotaract Club Kraków Wawel. Chodzi o wzajemną wymianę informacji i doświadczeń o organizowanych akcjach charytatywnych. Za jedno z ostatnich większych osiągnięć leo członkowie uważają skontaktowanie się z amerykańską

organizacją charytatywną Children are Angels from Heaven i jej prezydentem Rayem O'Brianem, od którego otrzymali kilka sporych paczek z ubraniami dla sierot i w najbliższym czasie spodziewają się kolejnych kilku zza oceanu.

We serve („służymy”)

Na świecie wszystkie kluby Leo kierują się w działaniu hasłem „Służymy” („We serve”). W celu pozyskiwania środków na zaspokajanie potrzeb swoich podopiecznych, od kilku już lat urządza się koncerty i różnego rodzaju imprezy charytatywne. Wszelkie uroczystości odbyły się dotąd w salach kabaretu „Piwnica pod Baranami” oraz w jednym z krakowskich klubów studenckich. Zorganizowano już sześć tego typu imprez, w tym bale tematyczne: „Szalone lata 70.”, „Pidżama Party” czy też „Magia kabaretów – lata Awangardy Krakowskiej”, podczas których goście w różnorodnych kostiumach po brzegi wypełnili sale. Przygotowano także koncerty rockowe, w których wystąpiło nieodpłatnie wiele krakowskich grup muzycznych, a dochód z imprez w całości przeznaczono na wcześniej określony cel.

Czas dopisze kolejny rozdział

Leo Klub Kraków świętuje właśnie swoje piąte urodziny, ale już stara się to, aby móc obchodzić kolejną szóstą, siódmą, ósmą itd. rocznicę działalności. Dla wolontariuszy ważne jest nie tylko wspólne planowanie następnych imprez charytatywnych, pozyskiwanie sponsorów czy też ofiarowanie pomocy potrzebującym, ale też zawieranie nowych przyjaźni, poznawanie ludzi z innych klubów z całego świata, poszerzanie własnych horyzontów i udział w licznych warsztatach, konwencjach, obozach wakacyjnych na całym kontynencie. O głębokich i wzruszających przeżyciach i satysfakcji płynącej z niesienia pomocy innym nikt tu głośno nie mówi... To oczywiste.

Słyszysz się jednak głosy, że dla „leosiów” nastąpi ciężki okres, bo brakuje nowych osób ze świeżymi pomysłami, ale przede wszystkim chęci i motywacji. „Leo reaktywacja” jest więc w niektórych klubach jak najbardziej potrzebna, po prostu trzeba im pomóc przetrwać. I wygrać.

Zapraszamy wszystkich młodych ludzi zainteresowanych działalnością w międzynarodowej organizacji charytatywnej na spotkania w co drugi piątek miesiąca o godz. 19 w sali kabaretu „Piwnica pod Baranami” (Rynek Główny 27; leokrakow@wp.pl). Przyjdź, a może spodoba Ci się i zostaniesz wolontariuszką, wolontariuszem Leo Klubu Kraków.

Joanna Kawalec

(wolontariuszka Leo Klubu Kraków)

LEO to młodzieżowe kluby charytatywne będące częścią Międzynarodowego Stowarzyszenia Klubów Lions w Polsce (Lions Clubs International). Obecnie działa w naszym kraju siedem młodzieżówek, które obchodzą w tym roku 15-lecie działalności. Leo Kluby starają się docierać do osób potrzebujących na wiele sposobów: udzielając pomocy finansowej, rzeczowej, a także pracując w ramach wolontariatu. Organizują imprezy charytatywne, zbiórki zabawek, odzieży, zabawki sportowe, pomagają domom dziecka i domom pomocy społecznej.

7 listopada 2005 r. delegacja Leo Klub Kraków wzięła udział w „Marszu Pamięci”, który odbył się w Oświęcimiu na terenie Państwowego Muzeum Auschwitz - Birkenau, oraz w głównych uroczystościach ku czci ofiar obozu koncentracyjnego. Do końca 2005 roku Leo Klub Kraków zagościł także na Nadzwyczajnej Konwencji Okręgu 121 Polska w Bydgoszczy i uczestniczył w corocznych andrzejkach organizowanych w Poznaniu przez tamtejszy Lions i Leo Klub. 20 kwietnia br. odbył się kolejny już koncert charytatywny przy współpracy dwóch krakowskich klubów Leo Klub Kraków i Rotaract Club Kraków Wawel, z którego dochód w całości przeznaczony został na przeszczep szpiku uczeniwnicy liceum Magdaleny M. Wystąpiły zespoły Detox oraz futroZryby, a w przerwach koncertu ogromnym powodzeniem cieszyła się wśród licznie zebranych słuchaczy loteria fantowa z atrakcyjnymi nagrodami. Od kilku miesięcy Leo Klub Kraków pracuje nad akcją, którą miałby być kurs udzielania pierwszej pomocy, zorganizowany na płycie Rynku Głównego dla wszystkich zainteresowanych osób. Współdziała też w tej sprawie z NFZ, który patronuje akcji „Oświadczenia woli”.

Joanna Bernat

Żadne słowo, gest nie uniesie całego obrazu...

W rocznicę śmierci Jana Pawła II w Audytorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego miało miejsce niezwykle wydarzenie kulturalne

Niezwykłe z dwóch powodów.

Po pierwsze dlatego, że związane z bardzo ważną, zwłaszcza wśród naszego społeczeństwa, osobą, jaką był i wciąż jest Nasz Papież („Żywe pozostaje wspomnienie po Janie Pawle II” – mówił za pomocą telemostu Benedykt XVI do wiernych zgromadzonych pod krakowską Kurią Metropolitalną). Po drugie dlatego, że w koncercie, który odbył się 30 marca br. (na kilka dni przed rocznicą śmierci Ojca Świętego), inspirowanym poezją z tomiku wierszy Karola Wojtyły *Miłość mi wszystko wyjaśniła* i dedykowanym pamięci Ojca Świętego, wystąpili niezwykli artyści.

Wszyscy zagraли i zaśpiewali do kompozycji i aranżacji Joachima Mencela, który porusza się w różnych obszarach muzyki, także etnicznej i współczesnej, ale i jazzowej. Właśnie tej ostatniej było podczas koncertu bardzo wiele. Ale co tak naprawdę ma jazz do Jana Pawła II? – zastanawiałam się. Okazuje się, że wbrew pozorom bardzo dużo, ponieważ „Źródła jazzu tkwią w religii” – mówił podczas zapowiedzi Łukasz Tischner z *Tygodnika Powszechnego*. Jazz powstał w pierwszej połowie XX wieku na południu Stanów Zjednoczonych pod wpływem muzyki czarnych niewolników. Charakteryzuje się dużą dowolnością interpretacyjną, aranżacyjną oraz tendencją do improwizacji. Miało to związek z faktem, iż twórcami tego gatunku byli przeważnie nie znający nut potomkowie tychże czarnych niewolników. Zdaniem niektórych muzykologów jazz to raczej forma interpretacji niż styl muzyczny, dlatego można stwierdzić, iż religia jest w jazzie i można go interpretować właśnie jako sposób rozmowy z Bogiem.

Przekonałam się o tym podczas koncertu. Ciągle miałam wrażenie, jak gdyby duch Jana Pawła II unosił się wokół mnie. Było go czuć w każdym niemalże brzmieniu, tak

głęboko docierającym do mych zmysłów. W euforię wprawiał mnie dodatkowo widok przepetnionej do ostatniego miejsca sali Audytorium Maximum UJ, a także głosy, których użyli na ten cel Ewa Bem, Mieczysław Szcześniak, Jorgos Skolias światowej sławy wokalistka z Kamerunu Kaissa i Chór Chłopięcy Filharmonii Krakowskiej pod dyrekcją Lidii Matynian-Hołoń. Również solówki Lee Konitza z USA (saksofon), Dina Saluzziego z Argentyny (bandoneon), Janusza Muniaka (saksofon), Piotra Wojtasika (trąbka) i Macieja Sikata (saksofon) spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem słuchaczy.

Niesamowite było to, jak genialnie Joachim Mencil połączył w jedno występ: Orkiestry Akademii Beethovenowskiej, chóru chłopięcego, kapeli góralskiej, zespołu instrumentalnego złożonego z perkusji (Łukasz Zyta), kontrabas (Adam Kowalewski), instrumentów perkusyjnych (Jan Pilch), saksofonu (Marcin Ślusarczyk), trąbki (Tomasz Kudyk), gitary (Martin Schaberl) i fortepianu, na którym grał on sam.

„Bywa nieraz, że w ciągu rozmowy stajemy w obliczu prawd, dla których brakuje nam słów, gestu i znaku bo równocześnie czujemy: żadne słowo, gest, znak nie uniesie całego obrazu (...)” – mówił Karol Wojtyła. Właśnie podczas koncertu w Audytorium Maximum, który był swego rodzaju „rozmową z Bogiem”, a w obliczu którego stanęli widzowie, mogę z całą pewnością stwierdzić: „Żadne słowo, gest, znak nie uniesie całego obrazu (...)”.

Kinga Zielińska

„Słowo, gest, znak” z tomiku wierszy *Miłość mi wszystko wyjaśniła*



Od świtu do zmierzchu

czyli „Akademik story”

Wiecie, na czym polega urok studiów i mieszkania w akademiku? Jesteśmy dorośli, ale nikogo nie dziwi, że często zachowujemy się jak dzieci...

Wracam z koleżanką z zajęć i mówię do niej: „Za chwilę będziemy w domu!”. Ona patrzy na mnie i pyta: „Ale jak to, przecież idziemy do akademika?” „No właśnie”

– odpowiadam.

Akademik, z definicji miejsce zamieszkania dojeżdżających studentów, w praktyce nasz drugi dom. Przynajmniej dla mnie. Nie pamiętam, od kiedy zaczęłam tak mówić. Chyba zawsze miałam taki pogląd. Pytanie tylko dlaczego...

Jak u „Wielkiego Brata”?

W akademiku *Za Kolumnami* mieszkam już drugi rok. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam, pomyślałam: „Matko, gdzie ja trafiłam.” Niepewnym krokiem weszłam do środka i... mnie zamurowało. Było po prostu za sterylnie i tak jakoś nie studentcko! Wszędzie kamery, recepcjoniści w krawatach, zero kurzu i brudu. Wcześniej mieszkłam w jednym z rzeszowskich domów studenckich i to była dopiero „jazda bez trzymania”. Pamiętam, jednego razu wyszłam na korytarz i uważnie przyjrzałam się podłozie. Zawsze ciekawił mnie jej wzór, na szarym tle takie czarne cętki. Kiedy zniżyłam wzrok, uświadomiłam sobie, że to po prostu ślady po zgaszonych papierosach. Jedna wielka popielniczka! Dlatego tak bardzo zaskoczyło mnie moje nowe miejsce zamieszkania. Zaczęłam się zastanawiać, kto będzie mieszkał w takim akademiku, gdzie wszystko znajduje się pod czujnym okiem „Wielkiego Brata”. Pewnie jacyś „sztywniaczy i kujony” – pomyślałam. Dla wyjaśnienia sama trafiłam tam już po blokadzie. Nie miałam wyjścia. I dzięki Bogu.

Trzy lata w rzeszowskim akademiku przyzwyczyły mnie do „akademikowego” trybu życia. Ale dopiero tu je pokochałam. Różni są ludzie i rozmaite mają upodobania.

Niektórzy wolą mieszkać na stacji lub wynajmować ze znajomymi mieszkanie. Ale nic nie stanowi tak nieodłącznego elementu studiów, jak akademicka komuna. Niby dzień powszedni w domu studenckim to nic szczególnego, a jednak coś w tym jest: ta niesamowita atmosfera panująca tu od świtu do zmierzchu.

„Wyższa szkoła tolerancji”

W Za Kolumnami mieszkają studenci różnych kierunków: od fizyki począwszy, a na politologii i historii skończywszy. Kiedy ze sobą rozmawiamy, nagle uświadamiamy sobie, jak wiele jest punktów widzenia na te same kwestie, jak inaczej każdy z nas postrzega świat, który istnieje wokół nas. Akademik to z pewnością „wyższa szkoła tolerancji.” Nie dziwi jedzenie serowych chrupek z bananem, schabowy na śniadanie czy „warunek” z wychowania fizycznego. Nie oceniamy ludzi za to, jak wyglądają czy czego słuchają, ale za to, co dla siebie nawzajem robią. Jesteśmy jak rodzina. Niektórzy mówią „patologiczna”, ale to tylko pogłoski.

Mój problem jest jednocześnie problemem tych, którzy mieszkają obok. I choć jesteśmy daleko od rodziców czy rodzeństwa, nigdy nie czujemy się samotni. Nie pozwalamy na to. Wspieramy się w trudnych momentach i razem przeżywamy chwile szczęścia. Myślę, że dzięki tej wspólnotie dojrzewamy emocjonalnie, uczymy się rozumieć innych, zaczynamy zdawać sobie sprawę, na czym polega dorosłość. Czyż nie na odpowiedzialności za drugiego człowieka, za współlokatora czy za sąsiada?

Może to, co napisałam, brzmi gornolotnie, ale to szczerą prawdą. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że doświadczenie i wiedzę zdobywamy, bawiąc się jednocześnie. Wiecie, na czym polega urok studiów i mieszkania w akademiku? Jesteśmy dorośli, ale nikogo nie dziwi, że często zachowujemy się jak dzieci.

Przed sesją i po sesji

W życiu większości zaków jest taki okres, który nazywa się „sesja”. Wtedy to dopiero poważniejemy. Siedzimy w pokojach, sprzątamy, pierzemy i wykonujemy inne „doroste” czynności. Robimy po prostu wszystko, by się nie uczyć. Po zdanych egzaminach rozpoczyna się prawdziwe szaleństwo. W zimie chodzimy na sanki i lepimy ze śniegu „ulubionych portierów”. Latem wędrujemy na „kopiec Kościuszki”, by orzeźwić się „napojami energetyzującymi”, i smażymy kilogramy kietbasek na profesjonalnych grillach z supermarketu za 10,99 zł. Czy to nie jest wspomnienie na całe życie? Studia to przedłużenie młodości, to doskonały sposób na zdobycie doświadczeń w każdej dziedzinie.

Z drugiej strony czasem jest jak w dżungli. Co jakiś czas włącza się alarm, bo ktoś spalił kotleta w mikrofali. W niedzielny poranek sąsiadka wracająca z imprezy dobija się do kolejnych drzwi i krzyczy: „Wstawać! Nie spać! Bawić się!” i dziwi się, dlaczego nikt jej nie otwiera. Ale najgorzej jest, gdy budzisz się koło godziny ósmej rano, po ciężkiej nocy, z jedną myślą w głowie: „Wody.”!!! Podchodzisz do lodówki i bierzesz tyk zimnego, orzeźwiającego i skwaszonego mleka.

I tak zaczyna się kolejny, studencki dzień powszedni. „Tańce, hulanki, swawole”, a w lodówce dwa... hmm, kartony świeżego mleka. Na zdrowie, studencie. „Pij, pij! Będziesz wielki”. Chyba jakoś tak to było. Z resztą nieważne...

Joanna Bernat

Zawsze stawiam sobie poprzeczkę dość wysoko i staram się ją przeskoczyć

Rozmowa z prof. KSW dr Małgorzatą LEŚNIAK, prodziekanem Wydziału Nauk o Rodzinie Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Mixer: Wyobraźmy sobie, że posiadamy wehikul czasu, który nas przenosi do lat, gdy Pani Doktor studiowała. Co Pani widzi?

Prof. KSW dr Małgorzata Leśniak: Nieżle pan zaczyna... Odpowiedź na to pytanie sprowadza się do ujawnienia mojego wieku, a kobiety o wiek nie należy pytać... Ale poważnie: studiowałam w dość szczególnych czasach – stan wojenny nie sprzyjał chyba temu, co nazwać możemy „życiem studentkim” – godzina (wtedy) milicyjna, zawieszona zajęcia i niepewność jutra. Wszystko to powodowało, że studiowałam się inaczej, ale też mimo to wszystkiego staraliśmy się jakoś i elementy bardziej przyjemne wprowadzić do życia studenta socjologii – był więc czas i na wspólne wypadki poza Kraków, imprezy, piwko czy też herbatę z rumem wypijaną w pewnej restauracji przy ulicy Grodzkiej, a także, a może przede wszystkim, na naukę, bo chyba to było wtedy najważniejsze mimo politycznej zawieruchy wokół nas, mimo poczucia, w pewnym sensie, beznadziejności... Trzymaliśmy się jednak – mimo braku technicznych urządzeń do natychmiastowego kopiowania notatek i skryptów – prawie zawsze do zajęć byliśmy przygotowani. No i atmosfera Instytutu – niesamowici wykładowcy, z pasją prowadzący zajęcia, rodzinna niemalże komitywa, z resztą studentów. Wtedy studiowało nas na roku około trzydziestu osób, znaleźliśmy się więc wszyscy doskonale nie tylko w obrębie grupy seminaryjnej, ale i wszystkich studiujących wtedy socjologię. Miło wspominam ten czas, bo sporo z tego

okresu pozostało fajnych przyjaźni, a poza tym ja przecież pracuję w tym samym miejscu, gdzie kiedyś studiowałam. To też jest miłe...

Mixer: Prawdą jest, że najtrwalsze przyjaźnie to te z okresu studenckiego?

Chyba nie, nie wydaje mi się. Owszem, pewnie i z czasów studenckich są ważne, ciekawe przyjaźnie, acz niekoniecznie jest tak, że każda najlepsza przyjaźń to ta z czasów studenckich. Jak powiedziałam przed chwilą, z tamtych czasów pozostało wiele przyjaźni, ale moja największa przyjaźń nie ma nic wspólnego z okresem, gdy studiowałam...

Mixer: A najtrudniejszy egzamin? (cisza) Nie było trudnych?

Wszystkie zdawałam za pierwszym podejściem. Ale najtrudniejszy egzamin... Może nawet nie był najtrudniejszy, ale pamiętam go do dzisiaj. Na drugim roku zachorowałam i spędziłam w szpitalu prawie trzy miesiące. Po powrocie ze szpitala nadszedł czas sesji egzaminacyjnej i moja wielka rozterka: „Rany, jak ja sobie z tym wszystkim poradzę? Tyle egzaminów i takie braki...”. Postanowiłam jednak podejść do tych egzaminów, nie mówiąc wykładowcom o mojej hospitalizacji. Prawie się udało, to znaczy tylko z jednego egzaminu otrzymałam ocenę, która nie w pełni mnie satysfakcjonowała – plus dostatecznie. Powiedziałam wtedy egzaminującemu mnie profesorowi o mojej chorobie, a on na to, że przecież mogłam sobie przetożyc sesję. Do głowy mi to wtedy nie przyszło... Rzeczywiście mogłam, ale nie zrobiłam tego. I nie chodziło wtedy nawet o brak wiedzy na temat takiej możliwości, ile o... No właśnie, o co? W każdym razie ocena plus dostateczna w indeksie pozostała.

Mixer: Najciekawszy sposób, w jaki próbowano zwrócić Pani uwagę na siebie, to...

(śmiej) Nie rozumiem, o co pan pyta... O socjotechniki stosowane przez studentów w trakcie egzaminów czy o sposoby mężczyzn na zwrócenie mojej uwagi? Na to drugie pytanie chyba nie powinnam odpowiadać...(śmiej). Jeśli zaś chodzi o to pierwsze, to przypominam sobie zabawną sytuację sprzed kilku lat. Kiedyś pewna studentka –zaoczna – przychodzi do mnie na egzamin ustny, daje mi indeks i szlocha mówiąc „Pani doktor, bo ja sobie tak myślę, że chyba w moim wieku to naprawdę jest trudno się uczyć. Bo widzi Pani... dwójka dzieci, mąż, praca... obowiązki... no czy to wypada, żeby kobieta w tym wieku jeszcze studiowała?”. Pomyślałam wtedy: „A ileż ona ma lat?” Otwieram indeks, patrzę, a ona jest młodsza ode mnie o dziesięć lat. „No ładnie, jak w tym wieku nie można się niczego nauczyć, to co ja tutaj robię?”. W efekcie studentka zdała ten egzamin, ale dlatego, że się do niego mimo wszystko przygotowała, a nie dlatego, że na mnie działają tego typu studenckie „podchody”.

Mixer: A jak Pani zwraca na siebie uwagę mężczyzn?

Specjalnie niczego nie robię.

Mixer: Samo przychodzi?

Ojej, pyta mnie pan o takie rzeczy! Nie wiem, czy wypada na tak postawione pytanie odpowiedzieć wprost... Kiedyś, w zamierzcztych, bo licealnych, czasach poderwana zostałam przez kolegę z klasy pedagogicznej – ja chodziłam do matematyczno-fizycznej – po tym, jak się okazało, że mam dość wysoki współczynnik inteligencji. Uczniowie z klasy pedagogicznej „badali” wtedy poziom inteligencji swoich kolegów i koleżanek z innych klas i tak się złożyło, że moja późniejsza sympatia trafiła właśnie na mnie. Widać wynik testu okazał się pomyślny, i chyba nie tylko z tej racji, że całka potrójna i liczby zespolone nie były dla mnie zagadką...



Prof. KSW dr Małgorzata Leśniak – prodziekan Wydziału Nauk o Rodzinie KSW, adiunkt w Zakładzie Socjologii Stosowanej i Pracy Socjalnej Instytutu Socjologii UJ. Wykłada m.in.: „socjologię dewiacji i przestępczości”, „historię seksualności” oraz „podstawy statystyki” (UJ); „metody badań naukowych z elementami statystyki”, „mediacje rodzinne” oraz „problemy społeczne i patologie rodziny” (KSW). Z pierwszego zawodu jest terapeutą uzależnień, a obecnie pełni również funkcję prezesa Oddziału Krakowskiego Polskiego Centrum Mediacji. Wolny czas najchętniej spędza aktywnie na tonie natury (tenis, rower, biegi), słucha muzyki i rysuje.

Mixer: To głównie inteligencja?

No nie, nie tylko. Duże niebieskie oczy z pewnością też mi pomogły... (śmiech)

Mixer: A kobiety, w jaki sposób prowokują mężczyzn?

O to należałoby zapytać każdą z osobna. W jaki sposób prowokują? Nie wydaje mi się, żeby słowo „prowokacja” dobrze tu pasowało... Większość z nas przecież nic szczególnego nie robi, a mimo to zdobywa upatrzonego mężczyznę albo jest przez tego upatrzonego zdobywana. To może być uśmiech, ubiór, zainteresowania albo po prostu tak zwany całokształt. Nie ma w tym względnie żadnych ustalonych z góry reguł; to nie matematyka, nie algorytm z przepisem na zdobywanie „Postępuj w określony sposób, a cel upragniony osiągniesz”. Miłość, eros to żywioły archaiczne, przedludzkie, uskrzydlające, ale też bezwzględnie bestialskie, ujawniające się poza obszarem mowy i woli, zależnej od psychicznych stanów przerażenia, radości... Radości, gdy zdobędę, smutku i przerażenia, gdy celu nie osiągnę. I tak już tysiące lat trwa to trzęsienie ziemi... I tysiące lat podobne rytuały, mity i konfabulacje w postaci sennych marzeń o tym jedynym, tej jedynej...

Mixer: Czy zdarzyło się Pani kiedyś kogoś nie zdobyć?

A jak Pan myśli? Różnie bywało... Niektórzy znawcy tematu twierdzą, że rzecz nie w zdobyciu, lecz w zdobywaniu...

Mixer: Wygląda Pani Doktor na kobietę, która osiąga cel.

Jestem zodiakalnym Baranem, a to ponoć uparte istoty (śmiech)... Rzeczywiście, stawiam sobie dość wysoko poprzeczkę i z całych sił staram się ją przeskoczyć. Zostało mi to z czasów, gdy trenowałam skok wzwyż, z całkiem zresztą niezłym rezultatem...

Mixer: A w czasach studenckich?

W czasach studenckich byłam bardzo zakochana. Miałam swojego mężczyznę i w ogóle nie zwracałam uwagi na innych.

Mixer: Ale sprawiało Pani Doktor przyjemność zdobywanie mężczyzn?

Cóż za niestosowne pytanie! (śmiech) Odpowiem trochę wykrętnie: jeśli prawdą jest, że namiętność szuka tego, co niedostępne, i że obiekt owej namiętności pozostaje najpilniej strzeżoną tajemnicą, to czyż nie jest tak, że złamiemy wszelkie zakazy moralne, realne tabu, aby po pokonaniu podniecających przeszkód

poznać fascynującą obcość niedostępnego? To może sprawiać przyjemność; odkrywanie na nowo tego, co wydaje się już dawno odkryte.

Mixer: Na podstawie własnych doświadczeń, co chciałaby Pani Doktor powiedzieć studentom KSW? Jak przeżyć ten radosny czas studiów?

Jak powiem, że z głową, to powiem dużo i nic. Wracamy do początku naszej rozmowy, jak się zdaje. Życie studenta to obowiązki i przyjemności. Czas należy tak zaplanować, aby znalazło się miejsce i na naukę, i na to, co miłe, sympatyczne w życiu każdego człowieka, nie tylko studenta: na miłość, przyjaźń, na wspólne rozmowy, niekoniecznie przy piwie... I tak należy ten czas przeżyć, aby potem, w przyszłości nie żałować ani jednej chwili spędzonej na uczelni, bo przecież pomimo uciążliwości, niejednej sesji egzaminacyjnej jest też niejedna maj, niejedna wiosna i wiele miłości; tych spełnionych i tych, które na spełnienie czekają...

Rozmawiał **Grzegorz Makuch**

Obyczajowość moich czasów była zupełnie inna

Wywiad z prof. KSW Barbarą Krauz-Mozer

Mixer: Jak Pani Profesor wspomina swój czas studencki?

prof. Barbara Krauz: Nadzwyczaj radośnie. Studia to najmiłszy okres w życiu człowieka. Później nie ma się już tyle czasu dla siebie i świat nie jest tak kolorowy, jak wtedy, gdy jest się studentem. Kiedy ja studiowałam, mimo że były to czasy ciężkie ze względu na warunki życia w Polsce i ograniczenia różnego rodzaju, Uniwersytet Jagielloński tętnił życiem. Dobrym przykładem są Juwenalia; wyglądały wtedy zupełnie inaczej, stanowiły dla wszystkich wielkie przeżycie, ponieważ prawie cały Kraków w nich uczestniczył. Młodzież przebierała się w wymyślne stroje przygotowywane wiele miesięcy wcześniej. Działo Bractwo Żakowskie, które w okresie juwenaliów przejmowało władzę nad miastem i odpowiadało za porządek, za dyscyplinę, za odpowiednie zachowanie studentów. Rzadko dochodziło do burd, do awantur uwłaczających dumie i godności studenta. Dzisiaj Juwenalia ograniczają się do paru imprez w miasteczku studenckim, a kiedyś bawiono się wszędzie. W obrębie Starego Miasta trudno było spotkać młodego człowieka, który by nie był zabawnie, dowcipnie przebrany.

Pamiętam, że w którymś roku grupa moich przyjaciół wygrała konkurs na najlepszą parę przebierańców. Mieliśmy w swym gronie studentów zagranicznych, w tym Japończyka, doktoranta w Instytucie Historii, nazywającego się Akijoszi Nakajama i zaprzyjaźnionego z naszym kolegą Januszem. Obydwaj nie grzeszyli wzrostem, dlatego wpadliśmy na pomysł, żeby Janusza ubrać w piękne męskie kimono dostarczone

przez Akijoszi, a jego samego przemienić w... śliczną, małą krakowiankę. Kiedy tak jako para wędrowali po Krakowie, wzbudzali olbrzymie zainteresowanie, więc zgłosiliśmy ich do rywalizacji na najbardziej oryginalnie przebranych studentów. Jury nie miało wątpliwości, dało im pierwszą nagrodę. Takiej zabawy dziś nikt już nie organizuje, a szkoda. Poza Juwenaliami, żywo zachowałam pamięci coroczne rajdy *Jesiennego liścia*. Szliśmy na kilkudniową wycieczkę w góry, z plecakami, z namiotami. Najcudowniej wspominam noce spędzone przy ognisku pod Turbaczem albo na Babiej Górze bądź na Lubaniu w paśmie gorczańskim. Śpiewaliśmy wtedy piosenki, które dziś nazywane są biesiadnymi: *Bandę*, *O Noem Pijaku* i oczywiście *Oczy czarne*.

Mixer: A jeden najlepiej zapamiętany przez Panią Profesor dzień ze studiów?

prof. Barbara Krauz: Och, był okropny, zabawny i dramatyczny, śmieszny i straszny zarazem. Musiałam zdać egzamin ze statystyki, utracenie humanistycznych kierunków studiów, kiedy to nagle należało opanować dziesiątki wzorów i zadań. Miałam bardzo wysoką średnią, nie wiedziałam, co to sesja poprawkowa, nie znałam nawet nazwiska swojego dziekana, bo nigdy go o nic nie musiałam prosić. Wykułam więc tę statystykę prawie że na pamięć i poszłam na egzamin z duszą na ramieniu. Tak się złożyło, że nosiłam takie samo nazwisko jak wybitny polski badacz, humanista, socjolog i egzaminator spytał mnie na powitanie, czy jestem krewną tego pana. Już chciałam odpowiedzieć, że nie, ale przemknęła mi przez głowę myśl, żeby może tę taskawość

losu wykorzystać – chodziło przecież o tę okropną statystykę. Byłam zaprawiona w zdawaniu egzaminów, bo miałam magisterium z historii, a studia socjologiczne to był drugi kierunek, więc odpowiedziałam, że tak, że profesor jest moją rodziną, ale daleką, asekurując się, by egzaminator nie wypytywał mnie zbytnio o szczegóły rodzinne. Na koniec pan profesor zapytał jednak, czy rzekomy mój krewny jeszcze żyje. Powiedziałam, że tak, ale że to już wiekowy jegomość. Po chwili dostałam jedno banalne pytanie o medianę, z którym sobie poradziłam, i ocenę plus cztery do indeksu. Dopiero jak wyszłam z pokoju, nogi się pode mną ugięły. Przypominałam sobie wyraz twarzy profesora, sposób, w jaki ze mną rozmawiał, i już wiedziałam, że to nie ja z niego zakpiłam, ale on ze mnie, i to w sposób straszny...

Mixer: Pan profesor już nie żył?

Tak, od 60 lat... Ale sprawdziłam to dopiero po powrocie do domu, w encyklopedii.

Mixer: Najbardziej udany kawał z czasów studenckich...

... zrobiony profesorem? Nie było o tym mowy. Dystans między pracownikami naukowymi a studentem był tak kolosalny, że nikomu z nas nawet nie przyszło na myśl, że do tego kogoś, na kogo się patrzyło tylko do góry, można się odnieść żartobliwie. Panowała zupełnie inna atmosfera, zupełnie inny niż dzisiaj był typ relacji profesor – student. Ale między sobą – robiliśmy sobie wiele kawałów. Już ich dobrze nie pamiętam, ponieważ nigdy nie mieszkałam w akademiku, a to był sposób bycia, który przede wszystkim charakteryzował studentów zamieszkujących domy studenckie. Do dzisiaj słynne są ponoć rewizje przeprowadzane przez kierownika II DS-u w pokojach studenckich, gdzie szukał dziewcząt i waletów. Miał na tym punkcie dwie obsesje. Po godzinie 22 wiadomo było, że należy wszystkich pochować do szafy. Ale on też na to wpadł i każdą rewizję zaczynał od otwierania schowków, a dopiero potem sprawdzał kąty. Jeśli znalazł dziewczynę, wypraszał ją, ale jeśli to był taki autentyczny walet, który nie miał gdzie głowy skłonić – kierownik miał dobre serce, potrafił mu znaleźć miejsce na przykład pod stołem, w swoim biurze, gdzie rozkładał dmuchany materac.



Prof. KSW dr hab. Barbara Krauz-Mozer

Socjolog, historyk, politolog; profesor w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownik Zakładu Metodologii i Teorii Polityki. Zajmuje się filozofią i metodologią nauk społecznych oraz teoriami kultury politycznej. Jest autorką m.in. takich prac: *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce, Teoria polityki. Metodologiczne podstawy politologii empirycznej, Spotkania z Lewiatanem*. Jest członkiem Rady Programowej Centrum Badania Opinii Społecznej i Prezesem Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych.

Mixer: A jak to było ze ściąganiem i podpowiadaniem?

Nikomu nie przychodziło to do głowy. Egzaminy zdawało się indywidualnie, ustnie trwały one czasami godzinę, a nawet dwie. Ale i warunki studiowania były wówczas inne. Mój rok na socjologii liczył 28 osób, a na historii niespełna 50. Na egzamin szło się z materiałem z wykładów, z podręcznikami, które były uzupełnieniem do wykładów, i z listą lektur, które się do danego przedmiotu przeczytało, wybierając je wedle własnych upodobań i zainteresowań. Profesor sprawdzał wszystko, punkt po punkcie, każdą z tych książek. Wpadliśmy później na pomysł, żeby podawać bibliografię w języku angielskim, licząc na to, że egzaminujący mógł nie czytać tej lektury. Ale ponieważ obcojęzycznej literatury raczej brakowało, wiadomo było, że każdy z uczonych doskonale ją znał...

Mixer: Mówi się, że najlepszych przyjaciół poznajemy na studiach. Czy jest to prawdziwe w przypadku Pani Profesor?

Tak, dlatego, że moi najbliżsi przyjaciele i znajomi to są właśnie koleżanki i koledzy

ze studiów. Los rozrzucił nas po całym świecie, a jednak do dzisiaj kontakt jest żywy, czuły, regularny i oparty na więzach głębszej przyjaźni, wyływającej z długoletniej znajomości. Korespondujemy ze sobą, urządzamy zjazdy jubileuszowe i odwiedzamy się, bywa, że także zawodowo współpracujemy.

Mixer: Zdarzało się Pani Profesor podkochać w prowadzącym zajęcia?

Na studiach nie, ale w szkole średniej miałam takiego profesora od historii. Być może że to on sprawił, że wybrałam ten kierunek studiów jako pierwszy. Był cudownym historykiem, którego do dzisiaj pamiętam, ponieważ potrafił zafascynować tą, nieciekawą jak wielu sądzi, żmudną i nikomu niepotrzebną dziedziną wiedzy. Naznaczył mnie, zostawił na mnie swój ślad, w pewnym sensie jestem jego dzieckiem.

Mixer: Jaką radę dałaby Pani Profesor dzisiejszym chtopcom? Jak mają zdobywać dziewczęta?

Obyczajowość moich czasów była zupełnie inna od obyczajowości dzisiejszego

pokolenia. To dwa nieporównywalne światy. I teraz tego się już nie da odtworzyć. Czasami myślę, że wam współczuję. Wczoraj oglądałam reportaży ze szkoły średniej w Polsce. Zobaczyłam dziewczęta młodzieńcze, śliczne, cudowne, ale już zepsute i zdemoralizowane, które nie będą umiały przeżyć miłości swojego życia. Odebrały to sobie same, nieświadomie... Rada dla chtopców? Niech próbują być mężczyznami, tzn. kimś mądrym i opiekuńczym, na kim można polegać, ufać mu. Kimś, kto potrafi, w razie potrzeby, być stanowczym, silnym i zdecydowanym bronić swoich racji. Ale także bycie mężczyzną to równocześnie uprzejmość, delikatność, wrażliwość, partnerstwo... Kiedy obserwuję chtopców z waszego pokolenia, to rzadko widzę wśród nich kogoś, o kim pomyślę: „Hmm, z tego jegomościa wyrośnie kiedyś prawdziwy, odpowiedzialny mężczyzna...”.

Rozmawiała *Agnieszka Prostek*



Wykład o mediach, konkurs dla studentów

Nagrodą – płatny staż w Telewizji Polskiej SA

8 marca br. w Akademii Ekonomicznej w Krakowie odbył się wykład poświęcony tematyce mediów, prowadzony przez specjalistów od reklamy i marketingu pracujących w Telewizji Polskiej SA: Piotra Gawta (członek Zarządu TVP ds. marketingu i reklamy), Rafała Lisika (kierownik Działu Promocji Biura Marketingu i Promocji) oraz Michała Kalińskiego (kierownik Zespołu Handlowego Biura Reklamy). Wykład składał się z trzech części – wprowadzającej, dotyczącej rynku reklamy w Europie, i dwóch części konkursowych, podczas których przedstawione zostały zadania dotyczące trzech obszarów: reklamy, PR oraz marketingu i promocji.

Warunkiem wzięcia udziału w I etapie konkursu było uczestnictwo w jednym z wykładów odbywających się w czterech polskich miastach: we Wrocławiu, w Warszawie, w Krakowie i w Gdańsku oraz napisanie odpowiedzi na jedno z pytań konkursowych (w terminie do dwóch tygodni od wykładu). Konkurs adresowany był do absolwentów i studentów szkół wyższych głównie z kierunków: handel zagraniczny, zarządzanie, marketing, PR i dziennikarstwo. Organizatorzy podkreślali jednak, że młodzi studenci z innych kierunków też mają prawo wziąć w całym przedsięwzięciu udział.

Wynikiem pierwszego etapu ma być wyłonienie 30-40 finalistów, którzy zaproszeni zostaną do Warszawy i rozwiązywać będą zadania finałowe. Drugi etap, finałowy, ma sprawdzić kreatywne myślenie i umiejętność pracy w grupach. Zakończy się on prezentacją dokonań poszczególnych zespołów. Atrakcją dodatkową będzie zwiedzanie siedziby Telewizji Polskiej i wieczorek zapoznawczy.

Jest o co grać. Zwycięzcy odbędą wakacyjne płatne (1000 zł miesięcznie) staże w TVP, podczas których będą mogli zdobyć umiejętności praktyczne, zaprezentować się potencjalnym przyszłym pracodawcom, poznać osoby ze świata mediów. Organizatorzy zapewniają również zakwaterowanie na czas odbywania stażu, a najlepszych czekać może nawet praca w TVP.

Jest to już druga edycja. Po raz pierwszy konkurs został zorganizowany w 2004 roku. Do finału I edycji konkursu zaproszono 32 osoby, z których wyłoniono 17 laureatów. Dwoje z nich – Annę Sękowską z Akademii Ekonomicznej w Krakowie i Wiktora Piątkowskiego z SGH w Warszawie mieliśmy przyjemność poznać na wykładzie. Obydwoje współpracują obecnie z TVP.

Wykład przebiegał w bardzo mitej atmosferze. Na sali obecni byli studenci wielu krakowskich uczelni, wśród których nie zabrakło naszych kolegów. Frekwencja

zaskoczyła organizatorów. Nie dla wszystkich wystarczyło przygotowanych wcześniej zestawów zadań konkursowych, co jednak nie okazało się problemem. Wszystkim, dla których zabrakło materiałów – zostały one przesłane e-mailem. Prowadzący zapowiedzieli również gotowość odpowiadania na pytania dotyczące konkursu i zadań.

Dopełnieniem idealnej organizacji jest strona internetowa (www.jestesnajlepszy.tvp.pl), na której oprócz wszystkich, na bieżąco uaktualnianych, wiadomości o terminach wykładów i warunkach konkursu, znajdują się również informacje o zeszłorocznej edycji, podpowiedzi i wskazówki dotyczące zadań konkursowych oraz informacje o tym jak wyglądały praktyki finalistów. Gorąco polecam.

Aga Prostack



Ubiór świadczy o Tobie...

Nie wszyscy wiedzą, co to jest strój wizytowy...



„Jak cię widzą, tak cię piszą” – mówi stara jak świat sentencja i ileż prawdy niesie ona za sobą! Inaczej ubieramy się, kiedy zostaliśmy zaproszeni na wesele, inaczej, gdy wybieramy się na imieniny do ciotki czy urodziny koleżanki, a jeszcze inaczej, kiedy idziemy na rozpoczęcie roku akademickiego czy zdawać egzamin. Jakże istotny jest więc ubiór, a mimo to nie wszyscy się nim przejmują. A przecież powinni, bo tym sposobem wyrażamy swój szacunek do innych.

Dzisiejsze społeczeństwo, zmodernizowane, idące ślepo za wzorcami z Zachodu, powoli zatracą się w tym wszystkim, gubiąc gdzieś za sobą podstawowe wartości i zwyczajne poczucie smaku. Niegdyś nasi przodkowie kultywowali pewne porządki spraw, które my, młodzi, powoli zaczynamy degradować, zachłyśnięci modą i wiecznie towarzyszącym głodem wolności.

Mowa oczywiście o owym szacunku. Gdzież on się podział? Bo przecież nie ukrył się między wystającymi piersiami, spod zbyt mocno wydekoltowanej bluzki czy wysuwającymi się stringami, które nie wiadomo jakim cudem stały się dziwnym trendem, a przecież już dawno został on

(ów cud) okrzyknięty największym kiczem i obciachem, jaki można sobie zaserwować.

Kiedyś wyglądało to inaczej... Dziewczyny idąc chociażby na egzamin, wkładały granatową lub czarną spódniczkę, a do tego koniecznie białą bluzkę. Chłopcy zaś odziewali się w spodnie w tym samym kolorze, także z białą górą. Albo po prostu „wbijali się” w nielubiany garnitur. Dziś tak klasyczny i elegancki strój staje się po prostu tandetny. Nowo powstające firmy naciskają coraz bardziej na poczucie swobody, za czym ślepo podążają młodzi, wprowadzając swego rodzaju „galową rewolucję”, nie zwracając uwagi na, to, że przecież ubiorem mogą kogoś obrazić albo chociażby zrazić do siebie.

Może to staroświecko brzmi, ale chyba po to wymyślono strój wizytowy, żeby właśnie do takich okoliczności go wykorzystywano. Dzisiaj nie przywiązuje się do tego wagi. Powoli ludzie stają się zmęczeni, bo jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku, kiedy wszystko zdominowane było przez ustrój totalitarny, nikt nie wyobrażał sobie, że może włożyć na siebie coś, co wychodziło poza ówczesne „kanony mody”(czytaj: to, w czym chodził ubrany ogół społeczeństwa). Ba, liczył się wówczas

kolektyw, jednostka nie miała własnego zdania, była podporządkowana państwu, które kontrolowało i zawtaszczało sobie życie ludzi, z góry narzucając im styl bycia, w tym także ubioru (w którym powszechnie akceptowalne – jako strój reprezentacyjny – były jedynie mundurki).

Czasy się zmieniły, w ówczesnym systemie demokratycznym wolności obywateli są powszechnie uznane i zagwarantowane. Ale czy to oznacza, że wolno nam wszystko? Potencjalnie tak. Możemy, bo przecież nie spotyka nas kara za nieodpowiedni strój... no, może czasem: w postaci reprimendy czy dyskwalifikacji z egzaminu. Jednak na uczelniach prywatnych rzadko się to zdarza i chyba się niestety nie zmieni, bo przecież „ptacę, więc ubrana (-y) mogą być, jak mi się podoba”. Czasem zdarza się, że zwycięża dobry smak, ale coraz częściej zastępowany jest on długimi pomalowanymi na krzykliwy kolor paznokciami, odróżniająco mocnym makijażem czy za bardzo wydekoltowaną bluzką. Co jak co, ale radziłabym zostawić takie „triki” na wieczór z przyjaciółmi w pubie lub po prostu na randkę.

Kinga Zielińska

Chciałem być leśnikiem...



„Tym bardziej moje aktorstwo będzie wartościowe, im więcej mnie będzie kosztować” – mówi Jerzy Stuhr

Jerzy Stuhr, wybitny aktor i reżyser. Uhonorowany został wieloma prestiżowymi nagrodami za kreacje aktorskie, reżyserię i scenariusz. Jego dzieła są pełne humoru, ale skłaniają również do refleksji, okazują się (co rzadkie) sukcesem zarówno artystycznym, jak i komercyjnym.

Mixer: Panie Jerzy, swój pierwszy, głośny film *Spis cudzołóżnic* zrobił Pan w 1994 r., ale przecież piętnaście lat wcześniej także kręcił pan filmy. Grał Pan wtedy role filmowca amatora. Czy grając tamtą postać, przyszło Panu do głowy, by tak jak bohater filmu zostać reżyserem?

Jerzy Stuhr: Do tego trzeba dojrzeć. Dojrzeć do takich decyzji, że się ludziom chce coś od siebie powiedzieć. Jako aktor ma się do tego dosyć ograniczone możliwości. Prawda...? Bo postępujesz się cudzym tekstem, jesteś reprezentantem idei kogoś innego. A ty, aktor, dodajesz do tego tylko uczucia. Z wiekiem dochodzisz do tego, że jednak sam masz coś do powiedzenia. Decydujesz się, żeby ludziom o tym powiedzieć, bo może im to pomoże, kiedy zobaczą,

że ktoś ma podobne do nich problemy. I wtedy zaczynasz robić filmy i bierzesz za to większą odpowiedzialność.

Mixer: A czy zdarza się Panu oglądać amatorskie filmy?

Tak. Nawet ostatnio byłem poproszony, aby uświetnić finał jednego z krakowskich festiwali filmów amatorskich. I muszę przyznać, że z dużą satysfakcją oglądałem te filmy. Czasem zdarza się, że są tak wysokim poziomie, iż naprawdę mogą mnie zainspirować.

Mixer: Jakie filmy uważa Pan za dobre?

Tam gdzie się zaczyna opowiadanie o czło-wieku, o problemach, dylematach, miłości, relacjach kobieta – mężczyzna... czyli cała sfera filmu psychologicznego. I wtedy absolutnym kryterium jest wzruszenie. Bo wiesz, najtrudniej jest wzruszyć widza. W teatrze łatwiej, bo stoję przed nim z potem, z moją męką... Natomiast jak się z ekranu kogoś uda wzruszyć, to od razu zainteresowanie wzrasta.

Mixer: Co jest najważniejsze w zawodzie reżysera?

Przekonać ekipę, żeby zrobiła taki film, jak się w twojej głowie kręci. Bo najpiękniejszy film kręci się w twojej głowie. Jak z tego ci się uda siedemdziesiąt procent, to możesz mówić o wielkim sukcesie.

Mixer: Dziś wykonuje Pan wiele zawodów. A kiedy był pan młody, to kim chciał pan zostać?

Leśnikiem... (śmiech)

Mixer: Dlaczego?

Bo wolność... Wydawało się, że ze strzelbą chodzić po lesie to jest wolność. Rozczytywałem się w Karolu Mayu. To była dla mnie jakaś wolność. Ja do tej wolności ciągle dążę, więc to się nie zmienia.

Mixer: A kto miał największy wpływ wówczas na kształtowanie się Pana jako artysty?

Po części dom, bo mama bardzo we mnie wierzyła. A artysta nawet gdy się rodzi, jak zaczyna, to jest strasznie niepewny. Ogromnie ci potrzeba kogoś, kto powie: „Idź, dobrze, zrób

tak...”. Potem, po latach, zobaczyłem, że ci, którzy pokazali mi braki, to tych pamiętam. Pamiętam matematyka, który dał mi dwóję na półroczu. To było szokiem, bo ja się raczej dobrze uczyłem. Było zebranie dwójarzy i musiałem przyjść na to zebranie. Po latach wiem, że było to mi potrzebne, bo mam naturę walczącą. To znaczy, że jak mnie ktoś przystopuje, to ja za wszelką cenę chcę go przekonać. Właściwie przez całe życie u mnie takim stymulatorem jest bunt.

Mixer: A czy uważa Pan, że trzeba się buntować?

Jestem przeciwko anarchii, czyli buntownik dla buntu. Anarchia znaczy zniszczyć wszystko i nie zbudować nic. Ja tylko wtedy zaczynam się buntować, kiedy mam w zapasie, w kieszeni czy w sercu coś, co chcę dać w zamian.

Mixer: Czy jako młody człowiek miał Pan swoją wielką pasję?

Większą część mojej edukacji spędzałem poza szkołą: w zespole poezji, statystowałem w teatrze - to była moja pasja. Godzinami siedziałem w teatrze za kulisami. Podglądałem próby. Bardzo dużo czytałem.

Mixer: A gdybym powiedziała, że chciałabym żeby Pan był moim idolem. Co takiego powinien Pan w Panu naśladować?

Najbardziej bym chciał, żebyś naśladowała to, że pracuję po szesnastu czy siedemnastu godzin dziennie. Tego bym ci życzył... I żebyś wybrała taką pasję, w której ta wzmocniona praca by ci nie przeszkadzała. Każdy musi tego szukać w sobie. Im wcześniej to coś w sobie znajdziesz, to, czym chciałabyś się z ludźmi podzielić, wyprodukować, oddać, wtedy te godziny pracy nie będziesz liczyła jako nadliczbowe, tylko one będą twoją pasją. A to w życiu bardzo ważne...

Rozmawiała *Izabela Jabłońska*

Odszedł tata Pirxa.



Stanisław Lem spoczął na cmentarzu Salwatorskim, pożegnany przez rzesze fanów trzymających w rękach czerwone róże. Nie chciał swej mogiły w Alei Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim...

Twórczość Stanisława Lema, zmarłego 27 marca 2006 r. w Krakowie w wieku 84 lat, a przede wszystkim utwory literatury fantastyczno-naukowej, które zdobyły dla artysty pozycję jednego z najważniejszych pisarzy w historii science fiction (tłumaczone na 41 języków i sprzedane w ponad 27 mln egzemplarzy), przepiętna jest poczuciem humoru, zadziwia erudycją w dziedzinie nauk ścisłych, ale także sceptycyzmem

Pisarz, określany „wizjonerem”, w swych dziełach rozciąga wizję przyszłości nauki i ludzkiej cywilizacji. Rozwija temat niemożności porozumienia się między ludźmi a obcymi cywilizacjami oraz istnienie utopijnego społeczeństwa i jego problem egzystencjonalny ze względu na rozwój technologiczny.

Przypomnijmy nieco faktów z życia i dokonań zawodowych pisarza.

Urodzony i wykształcony we Lwowie, Stanisław Lem przenosi się do Krakowa, z którym wiąże się do końca swoich dni. Tu debiutuje nowelą *Człowiek z Marsa* w 1946 r. oraz podejmuje studia medyczne. Posada asystenta w Konserwatorium Naukoznawczym nie przeszkadza pisarzowi w tworzeniu – w 1948 r. powstaje *Szpital Przemienienia*, potem m.in. *Astronaucci*, traktat filozoficzny *Dialogi*, *Dzienniki gwiazdowe* oraz *Eden*, by w 1961 r. wydać *Solaris*, który doczekał się dwóch adaptacji filmowych: rosyjskiej w 1972 oraz amerykańskiej w 2002 r. z George'em Clooneyem i Nataszą McElhone w rolach głównych.

Kolejnymi rewelacyjnymi dokonaniem Lema są: *Niezwyjęzony*, esej *Summa Technologiae*, *Cyberiada*, błyskotliwa autobiografia *Wysoki Zamek* oraz słynne *Opowieści o pilocie Pirxie* z 1968 r., w których autor przekazuje nam prawdę o świecie kultury i wartości, które tworzy człowiek i obarcza je równocześnie nielogicznością i niedoskonałością.

W wieku 49 lat Stanisław Lem zdobywa pierwszą nagrodę za swoje literackie dokonania – jest to wyróżnienie Ministra Spraw Zagranicznych za popularyzację polskiej kultury za granicą. Nagroda ta powoduje lawinę kolejnych: w 1973 r. pisarz otrzymuje laur od Ministra Kultury i Sztuki oraz równocześnie odbiera honorowe członkostwo Science Fiction

Writers of America (którego uczestnikiem przestaje być trzy lata później za krytyczne wypowiedzi na temat poziomu amerykańskiej literatury sf), zatem drugie już tego typu wyróżnienie po przyjęciu członkostwa Komisji Polskiej Akademii Nauk *Polska 2000*. W międzyczasie powstają: *Doskonała próżnia*, *Wielkość urojona* oraz *Katar*. W 1981 r. Lem otrzymuje doktorat *honoris causa* Politechniki Wrocławskiej, następnie zostaje uhonorowany tym tytułem jeszcze czterokrotnie – w 1998 r. na Uniwersytecie Opolskim, na Lwowskim Państwowym Uniwersytecie Medycznym, na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz w 2003 r. na Uniwersytecie Bielefeld.

Będąc w Wiedniu przez pięć lat, począwszy od roku 1983, pisarz odbiera austriacką nagrodę państwową w dziedzinie kultury europejskiej za rok 1985, a w 1991 – austriacką nagrodę państwową im. Franza Kafki w dziedzinie literatury.

Wpisany w poczet członków Polskiej Akademii Umiejętności, odznaczony orderem Orła Białego, staje się Lem honorowym obywatelem Krakowa w 1997 r. W tym okresie powstaje dzieło publicystyczne *Okamgnienie*, *Świat na krawędzi*, *Tako rzeczce Lem* i *Dylematy*.

Pisarz spoczął na cmentarzu Salwatorskim, pożegnany przez rzesze fanów trzymających w rękach czerwone róże. Nie chciał swej mogiły w Alei Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim..

Głupich spraw nie kochać wielką miłością

Zło tak już się zdomowilo na ziemi i w umysłach ludzi, że totalnie ostatecznie reakcje obronne naszych organizmów przeciw niemu

Temat pontyfikatu papieża Jana Pawła II został już spenetrowany do granic możliwości. Dlatego też kontynuować tej czynności nie mam zamiaru ani nawet ochoty. Krytykować przytaczającego nawet informacji o papieżu związanych z jego śmiercią, a teraz niedawną z jej rocznicą też nie będę, bo są rzeczy i sytuacje, których mimo wszystko krytykować nie należy, a nawet nie wolno.

I nie chodzi mi tu tyle o temat pontyfikatu i śmierci papieża, ile raczej o tematy, które się przy tej okazji porusza, czyli m.in. stan moralny obecnego człowieka i jego nastawienie do religii i miłości. Nie chcę również nikomu się podlizywać, pisząc o tym na tle niedawnej rocznicy śmierci papieża, bo nie mam wpływu na to, że takowa była, a że się zbiegła niejako z tym artykułem, to tylko lepiej. Nie stało się to w każdym razie przyczyną podjęcia przeze mnie tych tematów, ale przyznać muszę, że pewien imperatyw wytworzył się we mnie przy tej okazji i mocniej zobligował do podjęcia pewnych kwestii.

„Ziemia owoców pełna po brzegi kipi sytością jak wielka misa” – to świetnie oddaje obraz czasów, w jakich żyjemy. Tylko że ta obfitość jest często zbyt frustrująca i zgnębna dla człowieka. Zmusza nas do wyboru, bo nie wszystko można mieć, a wybór nie zawsze jest prosty. Niemożność posiadania wszystkiego każe nam „zaprzężyć” się z konformizmem, bo presja zdobywania tych „owoców” jest zbyt silna i brutalnie nakazana przez społeczeństwo i media. Z kolei ilość

tych wyborów sprawia, że gubimy się w labiryncie podejmowanych decyzji i nie zawsze widzimy białe i czarne. Perfidnie miesza nam to w głowach i „przesuwa granice naszej moralności”. Ostatecznie naszą czujność, zniekształca nam obraz świata, prawdziwą prawdę o człowieku i jego powołaniu. Spycha nas z drogi na pobocze. Ten ciągły maraton ku łapczywym zdobywaniu i korzystaniu z tych owoców wytwarza w nas agresję, chęć walki, a zarazem znieczula nas na patologie i panoszące się zło. Natomiast zło tak już zdomowilo się na ziemi i w umysłach ludzi, że totalnie ostatecznie reakcje obronne naszych organizmów przeciw niemu. Stało się dla nas rzeczą przerażająco naturalną, zupełnie zamazując granicę, która powinna być widoczna zawsze, nawet w ciemności.

Kończąc ten wątek, dodam, że nieustanny rozwój, a w jego wyniku ogromna obfitość owoców serwowanych nam przez świat kradnie naszą moralność. Oślepia nas tak, że nie widzimy, iż moralność stała się dla nas raczej abstrakcją, a obojętność na zło rzeczą naturalną i nigdy nie przestępstwem. Niektórzy mówią, że nie do końca są moralni, ale niemoralni też nie są. Otóż głupota! Z moralnością jest tak jak z ciężką: nie można być trochę w ciąży; albo się jest albo nie. Analogicznie dzieje się z moralnością. Nie ma wyjścia pośredniego, wybór jest prosty: białe albo czarne? Kto co wybierze, to jego sprawa, bo każdy dorosły jest odpowiedzialny za siebie. Ale każdy też ponosi pełną odpowiedzialność za wybór i nie ma żadnego tłumaczenia, żadnego.

Niektórzy mogą się teraz zastanawiać, co ja próbuję tu uprawiać, pisząc o tym..., więc chciałam powiedzieć, że nie mam zamiaru nikogo pouczać, bo do tego mi daleko...

Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić Was, abyście „nie przepalili swojego czasu wielkiej rzeźby”.

„Nie podcinajcie korzeni, z których wyrosłicie” – to słowa, które pewnie wiele osób słyszało, a tym samym wie, że nie udało mi się uniknąć nawiązania do papieża. No więc każdy, kto chce, może mi zarzucić żerowanie na uczuciach, ale będzie to głupota z jego strony.

Szczytem absurdu jest dla mnie pojęcie „ateizmu”, bo może jestem ograniczona intelektualnie, ale nie potrafię zrozumieć, jak można w nic nie wierzyć. Może to jakaś nieprecyzyjność pojęcia, bo nie ma chyba „niewiary” w czystym rozumieniu tego słowa. Wierzy się w cokolwiek: w jutrzejszy dzień, w to, że nazajutrz wyjdzie słońce, że się rano obudzę, że jest jakieś relatywne jutro. Osoby postępujące się tym pojęciem chyba go nie rozumieją albo nie zdają sobie sprawy z jego wagi, bo brak wiary w moim mniemaniu jest rzeczą przerażającą i ciągnącą z sobą nieodwracalne zmiany. Wiąże się z brakiem jakiegokolwiek sensu życia, a tym samym końcem życia...

Putapka tkwi chyba w rozumieniu religii, bo czy istotne jest to, jak nazywamy Boga? Czy Bóg to nie inaczej dobro i miłość, a przede wszystkim czy nie nasze człowieczeństwo i nie nasz początek? Wiem, że czasem trudno uwierzyć, iż „istnieje miłość na świecie Kainów”, ale może czas najwyższy dla niektórych uwierzyć... i tym samym nie sprzeniewierzać się samemu sobie. I szukając dobra, nie szukać jego źródła tam, gdzie można znaleźć tylko wskazówki, bo źródło jest w prostych rzeczach... zawsze.

Jak już wspominałam moralizatorkę w żadnym wypadku się nie czuję, dlatego na koniec jedyne, co mogę zrobić, to parafrazując słowa, K.K. Baczyńskiego, poprosić Was po raz drugi, abyście „głupich spraw nie kochali wielką miłością” i mieli oczy otwarte na sprawy, które warto pokochać, a na te, których nie warto, nie byli obojętni.

Roksana

Kosmiczna Szkoła Wyższa

W roku 2008 Krakowska Szkoła Wyższa, idąc z duchem postępu, postanowiła rozszerzyć swoją kampanię reklamową na całą galaktykę. To wielkie przedsięwzięcie miało ustanowić KSW pionierem w dziedzinie pozyskiwania słuchaczy spoza naszej planety. Pierwsza, historyczna broszura reklamowa z wielką pompą została wysłana w kosmos 1 lipca. Podczas uroczystości z tejże okazji rektor KSW w przemówieniu wypowiedział słowa, które przeszły do historii Naszej uczelni: „Studenti wszelkich galaktyk – łączcie się!”. Na rezultaty galaktycznej kampanii nie trzeba było długo czekać!

Za siedmioma gwiazdami, w nie tak odległej galaktyce, na planecie RXV50-64 znalazła kres swojej podróży pierwsza sonda reklamowa pod szyldem KSW. Napotkał ją jeden z nielicznych mieszkańców owej planety. Zaciekał się nią bardzo i z chęcią zdobywania nowych doświadczeń i wiedzy postanowił zostać studentem KSW w grodzie Kraka. By nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania, wykorzystał swoje niezemskie zdolności, aby przybrać postać ludzką, i z dziesięciokrotną prędkością światła udał się na Ziemię, za pomocą intergalaktycznego pojazdu kosmicznego.

Stojąc przed kolejny raz zmodernizowanym kampusem, czuł się jak ktoś zupełnie wyjątkowy. Przepetniony optymizmem, przekroczył progi szkoły. Zgodnie z instrukcją na ulotce reklamowej udał się pod dziekanat. Znalazł ów pokój łatwo, gdyż charakteryzował się pokazną kolejką słuchaczy oczekujących na przyjęcie. Dzięki swoim specjalnym zdolnościom ustalił, iż w kolejce znajdowały się 463 osoby, on sam zaś plasował się na jej końcu. Po czterech godzinach nadszedł jego czas.



Wtedy to pani z dziekanatu zamieściła na drzwiach wiadomość o zawieszeniu pracy na czas czterogodzinnej przerwy na kawę i pączka. Próbuąc jednak zatatwić swoją sprawę, przybysz postanowił użyć paranormalnych zdolności i stoczyć pojedynek z ową panią. Na nic zdały się jego niezemskie siły, gdyż moc przeciwnika okazała się nie do pokonania. Zrozumiał w ten sposób sens owej przerwy i pełen

smutku oraz niezadowolenia zrezygnował z dalszej przygody w szkole swych marzeń i wrócił na planetę.

Zatem KSW to nie Kosmiczna Szkoła Wyższa, ale równie niezemska uczelnia, w której tylko cierpliwi, konsekwentni i pokorni studenci dostąpią task...

Dawid Machowski

Polski „Dziki Zachód”, czyli...

Wyjedźcie (choć raz) w Bieszczady

Tym artykułem chciaabym rozpocząć pewien cykl propozycji wyjazdów weekendowych. Studiuję turystykę międzynarodową i nie powiem, żeby bardziej interesowała mnie praktyka niż teoria, dlatego chciaabym się podzielić z Wami wrażeniami z pobytu w wielu miejscach, a tym samym polecić je Wam.

Pierwszym z nich są Bieszczady, fenomen ekologiczno-kulturowo-socjologiczny. Na ogromnych połoninach, cichych, przypominających opuszczone doliny, przychodzi czasem człowiekowi do głowy myśl, że czas stanął w miejscu. Bieszczady to jedyne miejsce w Polsce, gdzie przyrodzie, choć nie przetrwała w pierwotnej formie, udaje się powracać do dawnej równowagi. Nigdzie indziej w Polsce nie znajdziemy się tak blisko natury w jej niemal pełnej, zharmonizowanej i bardzo namacalnej formie. Miejsc do odwiedzenia jest tu bardzo wiele i każde z nich urzeka niepowtarzalną urodą. Tutaj można się naprawdę wyciszyć i odpocząć.

Na początek Zalew Soliński

Jeden weekend to mało, aby poznać całe Bieszczady, ale wystarczy, żeby się w nich zakochać i stale do nich wracać. Na początek proponuję wycieczkę nad Zalew Soliński. Miejscowości wzdłuż brzegów zalewów Solińskiego i Myczkowskiego to typowe letniska. W sezonie jest tu bogate zaplecze noclegowo-turystyczne i wodniackie.

Zalew Soliński to największy sztuczny zbiornik w Polsce pod względem ilości wody i piąty pod względem powierzchni. Poza tym jest tu najwyższa tama w kraju – ma 664 m długości i 82 m wysokości, tak że schowałby się pod nią kościół Mariacki wraz ze swoją „hejnalnicą”.

Największy zespół domów wypoczynkowych w okolicy znajduje się w Polańczyku. Jest to zarazem miejscowość uzdrowska i siedziba gminy Solina, idealne miejsce dla osób z chorobami górnych dróg oddechowych i problemami nerwowymi. Raj dla kochających wodę i wodne szaleństwa, a także dla lubiących

spokojne moczenie kija, czyli wędkowanie. W dole wsi warto odwiedzić kościół z piękną ikoną Matki Boskiej Łopieńskiej.

Dziewiczy Duszatyń

Następną miejscowością wartą odwiedzenia jest Duszatyń, który swą nazwę wziął od płynącego tutaj już w 1511 roku potoku. Turyści natrafią tu na zaledwie parę domów, a trafić tam można najlepiej, idąc od Komańczy (zabiera to półtorej godziny). Szlak biegnie przez stary i dziki las, w którym panuje niesamowita cisza i spokój. Po prawej stronie trasy, między drzewami, można zauważyć połyskującą tafłę leśnego jeziora. W przejrzystej wodzie widać fragmenty zalanego lasu. Przemierzając szlak dalej, po kilku minutach napotykamy drugie, większe jezioro. Obydwa należą do ścisłych elementów rezerwatu przyrody nieożywionej Zwięzłto. Powyżej, na zboczu po prawej stronie szlaku, widoczny jest między drzewami ogromny zarys największego kiedykolwiek rozpoznanego osuwiska w Polsce.

Przełęcz Użocka, czyli tu się kończy Polska

Polecam również wycieczkę na Przełęcz Użocką, stanowiącą granicę państwa i wysuniętą najdalej na południe koniuszek Polski. Po obu stronach granicy rozciągają się istniejące już od kilkudziesięciu lat rezerwaty puszczy karpackiej. Przecinka graniczna doprowadza nas do miejsca, gdzie stoi trójkątny betonowy ostrostup i spotykają się granice Słowacji, Polski i Ukrainy. Tu kończą się też Bieszczady Zachodnie i zaczynają Środkowe z odrębną grupą Połoniny Równiej na południu. Najpiękniejsze widoki rozciągają się ze szczytu Opołonka, ale na wycieczkę grzbietem granicznym należy uzyskać zgodę Bieszczadzkiego Parku Narodowego i Straży Granicznej.

Kultowe Ustrzyki Górne

Idealną bazą wypadową do wycieczki na Tarnicę są kultowe już Ustrzyki Górne, wymarzona miejscowość letniskowa oraz siedziba Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Położone są na wysokości 650 m n.p.m., u zbiegu potoków Wołosatki, Terebowca i Rzeczycy. Bardzo dobrze rozbudowana baza noclegowa i gastronomiczna od wielu lat stanowią silny magnes dla





turystów. Najpopularniejszym szlakiem jest trasa Ustrzyki Górne – Tarnica – Halicz – Rozspaniec. To główny szlak beskidzki, oznaczony kolorem czerwonym; wędrowka nim trwa około 6 godzin. Podejście jest dosyć strome, ale po ponad dwóch godzinach możemy sobie zrobić chwilę odpoczynku na Szerokim Wierchu, a widok, jaki się stopniowo ukazuje, sówicie wynagradza trud. Podejście na Tarnicę do łatwych nie należy, jednak naprawdę warto się zmusić do wysiłku, bo ze szczytu rozciąga się niesamowity widok na Bieszczady. Sama nazwa Tarnicy pochodzi z języka rumuńskiego i oznacza „siodło”, które przypomina sylwetka szczytu widziana z Wotosatego. Na szczycie stoi wielki stalowy krzyż upamiętniający pobyt księdza Wojtyły w 1954 roku. Do Ustrzyk wraca się tą samą drogą albo szosą do Wotosatego.

Wetlina i Połonina Caryńska

Ważną bazą wypadową na szczyty i połoniny wysokich Bieszczad jest Wetlina. Przez Wetlinę przebiega wielka obwodnica bieszczadzka zwana „wielką pętlą”. W zachodniej części wieś nazywana jest Starym Siotem. Mieści się tu rejonowa stacja Straży Granicznej. Przez Wetlinę przebiegają tory kolejki wąskotorowej z Cisnej do Moczarnego. W centrum wsi, obok nowego kościoła, zobaczyć można fragmenty starej cerkwi. Przy budynku nadleśnictwa rosną dostojne jesiony – pomniki przyrody. W pobliżu pensjonatu Leśny dwór, na potoku poniżej mostku jest pięciometrowa

kaskada zwana Siklawą Ostrowskich. Noclegi można znaleźć w hotelu, pensjonacie, na kempingu oraz w licznych gospodarstwach agroturystycznych. Również z gastronomią nie ma najmniejszego problemu.

Warto też odwiedzić Połoninę Caryńską, która wzięta swą nazwę najprawdopodobniej od słowa „tara”, co oznacza „pole, ziemię”, bądź z rumuńskiego „car”, co można tłumaczyć jako „miejsce leżące powyżej uprawianej ziemi (rola)”. Dla turysty pieszego Połonina Caryńska dostępna jest właściwie z każdej ze stron świata ze względu na przebiegający nią całym grzbietem Główny Szlak Beskidzki (czerwony) oraz niemal prostopadle do niego szlak zielony od Przetęczy Wyżniańskiej.

Deszcz w Cisnej

„Deszcz padał, z lasów się kurzyło, smutna była Cisna. Siedzieliśmy przy kominie, słuchając odgłosu młotów, co nas z pobliskiej fryszarki dochodził” – tak swoje dzieciństwo w Cisnej wspominał znany komediopisarz Aleksander hr. Fredro. Rzeczywiście, słynna baza wakacyjnych wędrowek otoczona jest dochodzącymi do 1000 m wysokości górami, które nadzwyczaj często zatrzymują nad nią deszczowe chmury. W zimie czynny jest wyciąg narciarski długości 650 m, znajdziemy też tu doskonale rozwiniętą bazę noclegową i gastronomiczną. Dodam, że krajobrazy Cisnej posłużyły za plenery do filmu *Siekierzada, czyli zima leśnych ludzi*.

Atrakcją kolejka wąskotorowa i... wilki, żmije

Jednak największą atrakcją przyciągającą turystów jest kolejka wąskotorowa. Historia jej sięga lat 1890-1895, kiedy wybudowano ją z inicjatywy kilku firm z Budapesztu oraz Wiednia eksploatujących wtedy bieszczadzkie lasy i posiadających na tym terenie tartaki. Zdewastowaną częściowo w II wojnie światowej odbudowano w latach 1954-1964 głównie z myślą o zwózce drewna z okolic Górnej Solinki, Wetliny, Smereku, Cisnej, Smolnika i innych miejscowości do stacji PKP w Łupkowie i kombinatu drzewnego w Rzepedzi. Prócz podstawowej funkcji, jaka był transport drewna, kolejka służyła jako środek lokomocji dla pracowników leśnych oraz mieszkańców okolicznych wiosek, co przy braku dróg

bitych w okresie powojennym było jedyną możliwością kontaktu ze światem. W latach 60. rozbudowano sieć dróg asfaltowych, czemu towarzyszył żywiołowy rozwój komunikacji samochodowej stwarzającej możliwości swobodnego podróżowania. Spowodowało to napływ turystów w Bieszczady. W czasie swych wędrowek turyści odkryli uroki podróżowania „ciuchcią bieszczadzką”. Dziś, ze względu na niskie koszty transportu samochodowego, zaniechano wożenia kolejką drewna. Kolejka kursuje sezonowo na trasach: Cisna Majdan – Przysłop, Cisna Majdan – Wola Michowa i Cisna Majdan – Balnica. Oprócz tego organizowane są przewozy na zamówienie (cały pociąg) oraz wyjątkowo atrakcyjne przewozy drezynami.

Amatorom mocnych, przyrodniczych wrażeń polecam spotkania z licznymi występującymi tu stadami wilków oraz dwoma rodzinami niedźwiadków. Okrasą terenu są również żmije zygzakowate oraz rzadko w Polsce występujący wąż eskulapa. Dla fanów sportów ekstremalnych przeżyciem będzie odwiedzenie Czarnej, gdzie warto spróbować sił w zorbingu. Historycy oraz ludzie zainteresowani kulturą materialną w Bieszczadach mogą znaleźć wiele miejsc związanych z mieszkającymi tu Bojkami i Łemkami.

Opisane przeze mnie miejsca to tylko namiastka tego, co można zobaczyć, w Bieszczadach, i zaledwie mała część tego, co chciałabym Wam polecić bo Bieszczady to nie tylko góry, potoki i rzeki. To również człowiek, który przed wiekami wtopił się w tamten krajobraz.

Magdalena Mokska

Wiele pożytecznych informacji można znaleźć pod adresami:
www.twojebieszczady.pl
www.cisna.pl
www.carynska.pl
www.bieszczady.pl

Ad vocem *Znieczulicy totalnej...*

Artykuł *Znieczulica totalna* zamieszczony przez Pana Macieja Kozickiego w 14 numerze *Mixera* pozwala na założenie hipotezy, że strach i lęk nie są już niedostrzegalnym problemem trapiącym tylko i wyłącznie organy policji czy straży gminnej. Niewątpliwie obecny stan poczucia bezpieczeństwa wśród obywateli jest daleki od oczekiwań, ale fakt, że sprawy bezpieczeństwa zaczynają interesować młode osoby to teoretycznie oznaki chęci włączenia się młodych osób w działania prewencji kryminalnej, która aby była skuteczna, musi być realizowana w części przez zwykłych obywateli, a nie tylko i wyłącznie przez wyspecjalizowane służby policyjne. Mam nadzieję, że artykuł skłonił do refleksji sporą rzeszę studentów w zakresie poczucia ich własnego bezpieczeństwa, ale także pozwoli w przyszłości, na ich odzew, gdy zaistnieje potrzeba zaangażowania się w przeciwdziałanie przestępczości i wzmocnienia poczucia bezpieczeństwa.

Jeżeli zatem jest wiele elementów, które mają negatywny wpływ na młode osoby, to uświadamianie tego złego wpływu i uwydatnianie negatywnych odczuć związanych ze strachem jest działaniem zasługującym na wyróżnienie. Zatem gratuluję i jednocześnie dziękuję Autorowi artykułu za poruszenie tego tematu w magazynie studenckim.

mgr **Paweł Jan Juszczyk**
Wydział Zarządzania i Marketingu
Krakowska Szkoła Wyższa
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

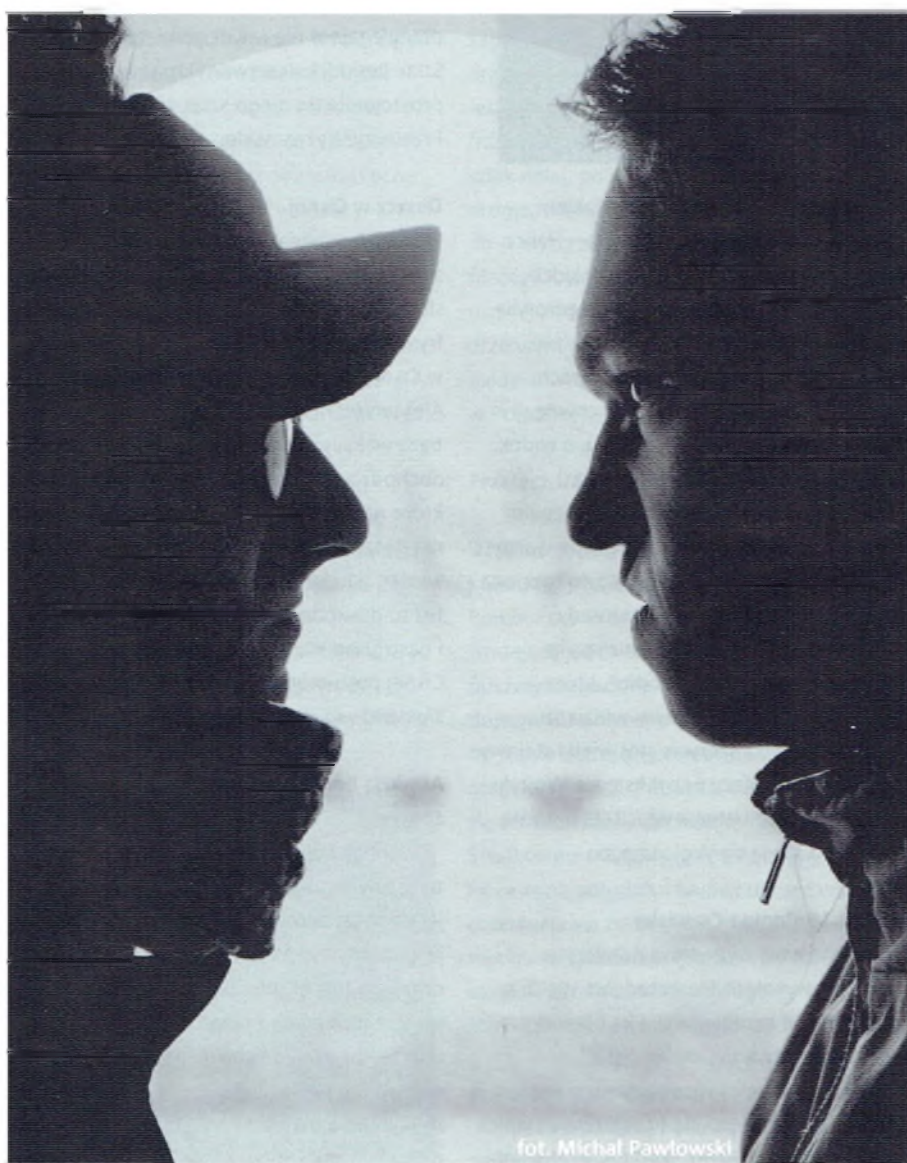


foto: Michał Pawłowski

Bon ton, czyli...

O czym każdy student wiedzieć powinien

Bon ton, młody człowieku, to coś szalenie obligatoryjnego. Nie wypada w sposób ostentacyjny „popisywać się” złymi manierami. W każdej sytuacji trzeba się wykazać konwenansem towarzyskim i erudycją słowa mówionego czy pisanego. Odpowiedni do sytuacji ubiór, taktowne zachowanie, nienaganne maniery – oto, co powinno Cię cechować, przyjacielu.

Przypomnijmy kilka zasad *savoir-vivre'u*, o których student KSW musi pamiętać:

- Każdy dojrzały mężczyzna wie, że to płeć piękna podaje dłoń na przywitanie.
- Jeśli chcesz pocałować kobietę w rękę, musisz się mocno schylić, a nie ciągnąć jej dłoń na wysokość Twoich ust.
- Niechlujny ubiór powie o Tobie od razu dużo. Miej to na względzie, kiedy umawiasz się z koleżanką na spotkanie czy idziesz na egzamin.
- Uśmiech na twarzy jest oznaką przychylniej postawy wobec kogoś, ale uśmiech uśmiechowi nierówny; pamiętaj o tym.
- Punktualność to w *bon tonie* coś szczególnego.
- Jak wiadomo, mowa jest srebrem, a milczenie złotem; zakoduj to sobie i trzymaj język za zębami.
- Świeć uprzejmością, gdziekolwiek się znajdziesz.
- Lojalność wobec innych? Co tu dodawać...
- Przy stole wykaz się absolutną wiedzą w kwestii dobrych manier, przede wszystkim nie mów z pełnymi ustami, nie młaszcz i broń Boże nie bekaj.
- Kiedy zapraszasz dziewczynę do samochodu, otwórz jej drzwi, pomóż wejść do środka, ale później obchodź auto przodem, a nie tyłem. Ona musi Cię cały czas mieć na oku (a nuż, widelec rozmyślisz się i pójdziesz sobie...).

Brigide

Savoir-vivre to bajka, koleś, więc miej łeb i bez mydła stosuj rules
Ziomal musi kumać

Wyluzuj, stary, bądź jak bonzo, a ty, maniuro, nie bądź purchawa. *Savoir-vivre* to bajka, koleś, więc miej łeb i bez mydła stosuj rules. Ziomal, musisz wiedzieć, w jakim rytmie się bujać, bo jak nie, to jesteś spalony. Czaisz bazę? Wbij sobie do kaczamberu, że masz to wykuć na tip-top, a nie MTV.

Obczaj tych kilka rules, a będziesz jak ćlućma czy pinda:

Każdy ziomal ma wiedzieć, że to laska pierwsza się wdzięczy powitaniem; jak chcesz to możesz dać jej jakieś cwiety, jeśli jest całkiem fajna.

Nie bądź CKM i pamiętaj, że tam, gdzie się gibasz, taką odstawiasz wazelinę.

Nie pochrzań tego, co masz na sobie, z tym, co chciałbyś mieć; stary, to, że idziesz do cioci na imieniny, nie oznacza, iż możesz włożyć szelesty i bluzę z kapturem.

Nie strzeż zębów na odwal się, bo usłyszysz „fuck you”, nie trząś dupskiem ani nie rób dymu, tylko podejdź i po ludzku powiedz: „Siemasz”.

Zjawiaj się na czas, a nie wychodź z numerem, że musieliście się odpryskać czy coś.

Nie puszczaj pary z gęby, bo będziesz frajer; niektóre ziomy mają długie jęzory i mogłyby coś na maksa spier...

Bądź cool.

Nie bądź chachmęt, wierność ziomalom to świętość.

Przy stole nie mów z pełną gębą, nie charkaj, zachowuj się jak odpowiednia szycha.

No i nie bądź jak jednokomórkowiec, który światła poza komorą nie widzi.

Jeśli Ci się uda i nie będziesz ciele, to możesz sobie powiedzieć: „Ze mnie to jest prawdziwy ziomal”.

Phenomena

Słowniczek:

maniura dziewczyna

purchawa głupia
dziewczyna

rules zasady

kaczamber głowa

tip-top dokładnie

obczaj zapoznaj się

ćlućma nieporadny

cwiety kwiaty

gibać się poruszać się

chachmęt kombinator

**Magazyn studentów
Mixer zaprasza wszystkich
studentów do współpracy!!!**

**Wszystkie informacje
otrzymasz pod adresem
mixer@kte.pl
bądź w pokoju samorządu
studentów KSW (043).**

